

A 28941

Σ 3 — 63 —
1974 / 75

dz. 115

prace



MAGAZYN
PROBLEMOWO-
INFORMACYJNY
POLITECHNIKI
WROCŁAWSKIEJ

Króćce =

MRÓZ

Problem wykorzystania zjawisk występujących w bardzo niskich temperaturach rokuje możliwości zupełnie nowych rozwiązań w technice. W środowisku naukowym Wrocławia podjęto badania nad problemami związanymi z kriogeniką ogólnie, a w szczególności nad problemem krio-elektrotechniki.

Redakcja „Sigmy” przeprowadziła dyskusję z przedstawicielami niektórych placówek naukowych, podejmujących ten temat badawczy oraz z przedstawicielami przemysłu. W dyskusji udział wzięli: prof. Jerzy SKOWROŃSKI, prof. Jarosław JUCHNIEWICZ oraz mgr inż. Bolesław MAZUREK z Instytutu Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii Politechniki Wrocławskiej, prof. Bogdan SUJAK z Instytutu Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Wrocławskiego, a także inż. Franciszek GABRYŚ — kierownik działu w ośrodku badawczo-rozwojowym Dolnośląskich Zakładów Wytwórczych Maszyn Elektrycznych „Ema-Dolmel”. Dyskusję prowadziła dr Stanisława SZULC.

Powstanie i rozwój kriogeniki i krio-elektrotechniki.

Prof. Jerzy Skowroński: Możemy, bez obawy stwierdzić, że w ciągu najbliższych dwóch dziesięcioleci będziemy świadkami rozwoju nowej dziedziny techniki, wykorzystującej zjawiska zachodzące w niskich temperaturach do celów energetycznych, tj.: wytwarzania, przetwarzania, przesyłu i użytkowania energii elektrycznej. Ciągły wzrost zapotrzebowania na energię elektryczną, decyduje o budowie coraz większych elektrowni wyposażonych w zespoły prądotwórcze o coraz większych mocach jednostkowych. Wzrost napięć na liniach przemysłowych, powoduje trudności konstrukcyjne, technologiczne i eksploatacyjne. Największe kłopoty, związane z ciągłym wzrostem gabarytów urządzeń elektrycznych wynikają z trudności transportowych takich kolosów, gdyż dopuszczalna nośność dróg, obciążalność mostów, jak i gabaryty wiaduktów zupełnie nie są do tego przystosowane. Wynika stąd konieczność miniaturyzacji urządzeń elektroenergetycznych, a także potrzeba poszukiwania sposobów zmniejszenia start przesyłu, które obecnie wynoszą około 10 procent energii produkowanej.

Zagadnienia te można by rozwiązać przez zastosowanie krio-elektrotechniki w przemyśle. Wykorzystuje się w tym celu dwa zjawiska fizyczne: zjawisko nadprzewodności niektórych metali, stopów i związków, lub znaczne zwiększenie przewodności metali czystych, w bardzo niskich temperaturach. I tak np. w temperaturach poniżej 10 K spora liczba pierwiastków metalicznych traci opór elektryczny. Warunkiem tej nadprzewodności jest bardzo duża czystość metali i nie przekroczenie pewnej granicznej gęstości prądu. Te właściwości nadprzewodników, przy możliwości uzyskania takich materiałów na

skalę przemysłową, otwierają dla elektrotechniki i elektroniki ogromne perspektywy. Można się spodziewać, że doprowadzą one do przewrotu w konstrukcji ważnych urządzeń i układów elektrycznych. Przy linii przemysłowej wykonanej z nadprzewodnika nie będzie istniała potrzeba stosowania wysokich napięć. Wymiary maszyn i transformatorów krio-elektrycznych będą znacznie mniejsze, a ich sprawność bardzo duża. Można będzie również uzyskać pola magnetyczne wielkiej indukcji magnetycznej bez rdzeni żelaznych. W praktyce nie jest to tak zupełnie proste. Powstają ogromne trudności przy realizacji tych zagadnień zarówno natury konstrukcyjnej, technologicznej jak i ruchowej, ale podstawowa zasada jest słuszna i problem badawczy jako taki został podjęty na szeroką skalę.

Początki kriogeniki we Wrocławiu.

Prof. Bogdan Sujak: Moje zainteresowania kriogeniką sięgają lat pięćdziesiątych, kiedy to studiowałem w Oksfordzie u prof. Mendelсона i jego ucznia dr Rosenberga. Są to lata kiedy i w Polsce, a ściślej we Wrocławiu, rodziła się kriogenika. Już w roku 1956/57 prof. Roman Ingarden wraz z doc. Bolesławem Makiejem organizowali pierwszy Zakład Niskich Temperatur przy Instytucie Fizyki Polskiej Akademii Nauk. W Polsce po raz pierwszy hel skroplono w roku 1960. Zakład Niskich Temperatur wszedł następnie w skład utworzonego Instytutu Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN. Właściwy, pełny rozwój kriogeniki we Wrocławiu nastąpił dopiero z chwilą ustanowienia problemu węzłowego finansowanego przez Polską Akademię Nauk a koordynowanego właśnie przez ten Instytut. Należy zauważyć, że potrzeby krio-elektrotechniki zrodziły konieczność rozwijania kriogeniki w świe-

cie a także w naszym kraju. Ciągłe rosnące potrzeby energetyki zmuszają do szukania nowych rozwiązań. Osobiście widzę jeszcze jedną, nie mniej ważną dziedzinę, rokującą możliwość szybkiego zastosowania kriogeniki. Myślę o rolnictwie, a szczególnie o przemyśle spożywczym. W naszym kraju, dzięki dużym ilościom skroplonego azotu, jako surowca odpadowego, przechowywanie środków spożywczych w temp. ciekłego azotu, to znaczy rzędu 80 K, byłoby celowe i ekonomicznie uzasadnione. Natomiast jeżeli chodzi o obszar kriogeniki helowej, zapewniającej temperatury rzędu 4 K, to znajdzie ona zastosowanie chyba najwcześniej w krio-elektrotechnice i krioenergetyce. Aktualnie kriogenika helowa jest już wykorzystywana w badaniach podstawowych ciała stałego.

Prof. Jarosław Juchniewicz: Badania związane z zastosowaniem kriogeniki w elektrotechnice, podjęte zostały przez Instytut Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii, dzięki inicjatywie profesora Jerzego Skowrońskiego, który wprowadził tą tematykę do naszych prac badawczych w pierwszej połowie poprzedniej pięciolatki. Od 1970 r. problematyka ta została uznana jako problem węzłowy. Zadania zostały podzielone między szereg instytucji w kraju. Podstawowe zagadnienie związane z kriogeniką, dotyczące bazy niskotemperaturowej, opracowywane są przez Instytut Niskich Temperatur Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu. Całość prac koordynowana jest przez dyrektora tego Instytutu prof. Włodzimierza Trzebiatowskiego.

Drugą placówką naukową zajmującą się rozwiązywaniem układów chłodniczych dla krio-elektrotechniki oraz badaniem własności ciał stałych w niskich temperaturach jest Instytut Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Wrocławskiego, ale o tym najlepiej powie prof. Bogdan Sujak.

Trzecią instytucją jesteśmy my tzn. Instytut Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii Politechniki Wrocławskiej. Zajmujemy się przede wszystkim problemem kriokabli oraz badaniami materiałów izolacyjnych i przewodzących z punktu widzenia potrzeb kriokabli.

Pierwszą i jedyną (jak na razie) placówką badawczo-wdrożeniową jest „Erma-Dolmel”, pracujący nad konstrukcją kriomaszyn elektrycznych.

Należałoby również wspomnieć, że w badaniach uczestniczył początkowo Instytut Elektrotechniki w Warszawie, który podjął się opracowania transformatorów przeznaczonych do pracy w niskich temperaturach.

Badania w zakresie kriogeniki i krioelektrotechniki.

Prof. Bogdan Sujak: Obecnie w Instytucie Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Wrocławskiego jedna grupa moich współpracowników opracowuje układy chłodzące także z myślą o krioelektrotechnice. Opracowywane układy są jeszcze gabarytowo bardzo małe, lecz ich realizacja pozwala pokonać większe trudności technologiczne niż w przypadku maszyn średniej wielkości. Opanowawszy właściwą technikę w zakresie mikrochłodnictwa znacznie łatwiej będzie zająć się układami, które mają już zastosowanie w skali politechnicznej i technicznej. Końcowym efektem naszych prac będzie skonstruowanie modeli laboratoryjnych, które po opanowaniu pod względem konstrukcyjnym, przy jednoczesnym powiększeniu skali, stanowiąc mogą prototypy urządzeń chłodniczych przeznaczonych nie tylko dla krioelektrotechniki.

Druża grupa pod moim kierunkiem zajmuje się sprawami transportu chłodziwa, realizując na małą i średnią skalę metodę Swensona. Metoda ta polega na oddzieleniu zapasu kriochłodziwa od obiektu chłodzonego. Stosując metodę Swensona realizujemy tak zwane kriostatowanie przepływowe, które (jak się wydaje) jest najdogodniejsze dla kriomaszyn, w połączeniu z chłodziarkami niskotemperaturowymi.

Trzecia grupa natomiast zajmuje się badaniami podstawowymi z zakresu krioz izolacji. Interesują nas problemy pojedynczych powolnych elektronów, emitowanych w przypadku zdefektowania materiału. Interesują nas również problemy polaryzacji nieizolatorów w niskich temperaturach, które mogą — moim zdaniem — odgrywać dużą rolę w procesach starzenia. Zajmujemy się również procesami generowania mikrowyładowań elektrycznych, występujących na powierzchni niektórych dielektryków, podczas przemian fazowych. Zjawisko to może stanowić „pas startowy” dla przebiegu powierzchniowego.

Są to zagadnienia z zakresu badań fizyki ciała stałego. My fizycy możemy mówić o zjawiskach ogólnych, które krioelektryk powinien uwzględnić w swoich rozwiązaniach. Prowadzimy eksperymenty tak, by potencjalnemu krioelektrykowi lub konstruktorowi maszyn krioelektrycznych zwrócić uwagę na pewne zjawiska, które mogą występować w niskich temperaturach.

Prof. Jarosław Juchniewicz: Naszym zadaniem było przeprowadzenie badań materiałowych, ze szczególnym położeniem nacisku na materiały izolacyjne z punktu widzenia potrzeb kriokabli.

Rozpatrywano trzy różne koncepcje rozwiązań, z czego po rozpoznaniu literaturowym i pewnych własnych doświadczeniach, wybraliśmy do opracowania model kriokabla z czystego aluminium, intensywnie chłodzonego azotem. Wybrane przez nas rozwiązanie jest stosunkowo proste pod względem technicznym i w znacznym stopniu zbliżone do kabli tradycyjnych. Opracowany kriokabel różni się od tradycyjnego sposobem izolacji i intensywnością chłodzenia. Proponowane rozwiązanie są bliższe energetykom, więc spodziewamy się mniejszych trudności przy ich wdrożeniach. W tego typu rozwiązaniach sprawę istotną stanowi problem izolacji elektrycznej, który również opracowujemy. W badaniach nad problemami izolacji nawiązujemy jak sędze do czołówki światowej. Z naszego ośrodka wychodziły i wychodzą pierwsze publikacje, dotyczące badań starzenia się układów izolacyjnych w różnych warunkach pracy.

Mgr inż. Bolesław Mazurek: Starzenie się kriokabli i ewentualna ich awaryjność to główne zarzuty sygnalizowane w literaturze, ale przed wykonaniem dokładnych badań i obserwacji trudno o tym mówić. Awaryjność kriokabli związana jest przede wszystkim, ze sposobem ich chłodzenia, co dla kabli nadprzewodzących może powodować — w skrajnych przypadkach — wyparowanie odcinka przewodzącego, stąd też problem pewności pracy kriokabli związany jest przede wszystkim z pewnością pracy urządzeń chłodzących i odpowiednich ich zabezpieczeń.

Zastosowanie krioelektrotechniki w technice.

Dr inż. Franciszek Gabrys: Dolnośląskie Zakłady Wytwórcze Maszyn Elektrycznych podjęły próbę wykorzystania krioelektrotechniki w budowie maszyn elektrycznych — kriomaszyn. Najprostszym rodzajem takich maszyn, to maszyny unipolarne i to zarówno silniki jak i prądnice. Już obecnie znane są w świecie takie rozwiązania, zastosowane w przemyśle okrętowym. Maszyny tego typu charakteryzują się niską temperaturą (4-6 K) uzwojeń wzbudzenia. Obecnie pracujemy również nad konstrukcją maszyn synchronicznej z wirującym kriomagnesem. Przypuszczam, że jej model będzie gotowy pod koniec 1975 roku, wówczas to przystąpimy do jej przebadania. Przypuszczam również, że budowane przez nas kriomaszyny elektryczne znajdą na razie zastosowanie w przemyśle okrętowym i hutniczym, a w przyszłości także w energetyce. Kriomaszyny posiadają kilkakrotnie mniejsze wymiary gabarytowe i wielokrotnie mniejsze ciężary, przy tych samych mocach, w stosunku do tradycyjnych maszyn elektrycznych. Stosowanie krioelektrotechniki pozwoliło więc znacznie zmniejszyć gabaryty samej maszyny, ale przybyło za to szereg bardzo złożonych urządzeń zewnętrznych, związanych z koniecznością chłodzenia. Chcielibyśmy, by te zewnętrzne obiegi chłodnicze wykonał ktoś, kto ma dostatecznie duże doświadczenie, ponieważ od ich sprawnej pracy zależy pewność pracy całej kriomaszyny. Spośród problemów trudnych do technicznego opanowania, do jednych z istotniejszych należy kwestia izolacji próżniowej. Korzystamy z pomocy Instytutu Niskich Temperatur Polskiej Akademii Nauk, który w zakresie tech-

niki próżni w niskich temperaturach posiada największe doświadczenie w kraju. Inny problem do opanowania, to sprawa uzwojenia i to zarówno z punktu widzenia materiałów nadprzewodnika, jak i technologii wykonania. Na tym odcinku współpracujemy również z Zakładem Badań Nadprzewodników Instytutu Niskich Temperatur. Kolejnym problemem jest inżynieria materiałowa dla potrzeb krioelektrotechniki. Chcielibyśmy w przemyśle stosować materiały tanie, handlowo dostępne, ale posiadające wszystkie parametry wymagane pod względem technicznym i wtedy można będzie mówić o rozpoczęciu produkcji seryjnej. Kriomaszyny są maszynami przyszłości, a jedynie opanowanie konstrukcji i technologii stanowi główny problem w ich produkcji na skalę przemysłową.

Mgr inż. Bolesław Mazurek: Zastosowanie kriomaszyn i kriokabli w energetyce może mieć miejsce dopiero w latach osiemdziesiątych, gdyż wszystkie te urządzenia muszą być najpierw dokładnie przebadane, a i sam przemysł musi się do tego dostosować. Jeżeli chodzi o kriokable, to można się spodziewać, że pierwsze próbną linię przesyłową uda się zbudować w przyszłej pięcioletce, ale dopiero w dalszej przyszłości znikną naziemne linie wysokiego napięcia. Jest to energetyka jutra. W najbliższej przyszłości sposób przesyłu energii elektrycznej na duże odległości zostanie bez zmian. Natomiast zastosowanie kriokabli w energetyce już w niedalekiej przyszłości będzie miało miejsce wszędzie tam, gdzie chodzi o ochronę środowiska, lub gdzie nie będzie możliwe przeprowadzenie linii wysokiego napięcia ze względu na urbanistykę lub z jakichkolwiek innych względów. Stąd też potrzeba stosowania kriokabli w energetyce zrodziła się przede wszystkim w krajach wysoko uprzemysłowionych i silnie zurbanizowanych, jak Stany Zjednoczone, Japonia, Francja. W Polsce stosowanie kriokabli w energetyce na skalę przemysłową jest jeszcze dość odległe.

Postęp w badaniach nad problemami kriogeniki w stosunku do badań światowych.

Prof. Bogdan Sujak: Nie ulega wątpliwości, że w stosunku do stanu badań światowych jesteśmy w naszym kraju opóźnieni w rozwoju osprzętu kriogenicznego. Jeżeli natomiast chodzi o prowadzone przeze mnie badania nad małymi chłodziarkami niskotemperaturowymi to wydaje się, że jesteśmy w dość dobrej pozycji wyjściowej. Poza Związkiem Radzieckim nie znam ośrodków w Krajach Demokracji Ludowej, które by nas wyprzedzały. O współpracy z nami w tej dziedzinie zabiega wiele pokrewnych placówek.

Natomiast w badaniach nad emisją elektronów, jesteśmy w świecie uważani za jedną z grup, która tą tematykę współtworzyła. Nasze publikacje z tej dziedziny są poszukiwane, o czym świadczą kartki i listy z całego świata z prośbą o przesłanie odbitek naszych prac.

Dr inż. Franciszek Gabrys: Jeżeli chodzi o postęp w budowie kriomaszyn to możemy stwierdzić, że nie ma jeszcze na rynku światowym tego typu urzą-

gdzie szukać

IDEOLOGII

Jan
Kurowicki



Fot. J. LAJSTOWICZ

Czasy mamy spokojne. Przynajmniej z pewnego punktu widzenia. Życie płynie swym utartym torem. Coś, jak zwykle, dzieje się w Polsce, coś dzieje się na świecie. A jedno i drugie wydaje się od jednostki odległe i — mimo swej konkretności — abstrakcyjne. Posiada konsystencję szaro-białego obrazu na ekranie telewizora. Obrazu znikliwego, przechodzącego w następny, jakby odruchowo. Wielkie sprawy wydają się od dawna znajome i swojskie. Wielkie słowa — nazbyt codzienne.

— Tak oto się myśli. Bardzo często i w najróżniejszych kręgach: wśród studentów i wśród uczniów, wśród urzędników i pomiędzy uczonymi jajogłowami. I z pozoru nie ma w tym nic dziwnego. Nie ma bowiem sytuacji „na ostrzu noża”, które zmuszałyby do wyborów bezkompromisowych, wyraźnych, obligujących na zawsze. O sytuacjach tych dowiadujemy się z książek i telewizyjnych, filmowych lub teatralnych przedstawień. Ale są one niejako nie-nasze, choć często identyfikujemy się z nimi. Identyfikacja ta wszakże jest tego samego rodzaju, jak identyfikacja z wyobrażonymi, stworzonymi przez fantazję wizytami istot rozumnych z kosmosu.

Jednocześnie, szczególnie u ludzi młodych, pojawia się zazdrość do starszych braci, którzy musieli wybierać i ryzykować. Ich życie wydaje im się znacznie atrakcyjniejsze. Zapominają o przekleństwie: „obyś żył w ciekawych czasach”. Zapominają z lęku przed szarą przyszłością, jego monotonią i nieokreślonością.

Nie sędzę, by warto było prowadzić spór z tym myśleniem. Należy raczej

wskazać, że myślenie to jest uaktualnieniem funkcjonujących społecznie stereotypów, które niegdyś się wytworzyły, pełniły określone funkcje i trwają po dziś dzień siłą bezwładu.

Jakich stereotypów? — Tych, myślę, które nakazują jednostce zachowywać postawę gotowości wobec wstrząsów tektonicznych rzeczywistości społecznej. Skutkiem ich istnienia ideałem, czy ideologią nawet — zdaje się to, co pozwala rzeczywistość tę widzieć jako ostro skontrastowaną.

Nie sędzę, by stereotypy te mogły zostać przezwyciężone samą „siłą myślenia”. Myślę, że zanikną one wówczas w pełni, gdy utrwali się ogół tych sytuacji, które zapewniają to, co nazywamy spokojem.

Ale już teraz, mimo, że trudno czasy nasze spokojnymi nazwać, istnieje pewna istotna potrzeba. Polega ona na rozpoznawaniu społecznego świata jako zróżnicowanego, mimo, iż różnice zdają się zamazane. Zawsze bowiem dla ludzi, żyjących w danych stosunkach społecznych (poza sytuacjami, o których wspominałem wyżej) — stosunki te nie są w pełni jasne. I jeżeli zrozumie się, że ideałem czy ideologią nie jest to, co występuje w ostrych konfliktach, gdy się pojmie, że faktycznie określoną ideologię zakłada każde nasze zachowanie wśród ludzi, każda wyznawana przez nas zasada moralna, każde przekonanie co do charakteru struktury społecznej — istnieje możliwość innego ujrzenia się w świecie. Straci on wówczas pozór monotonii. Powstanie problem wartościowania poznawczego naszych przekonań, fobii i wiar. Okaże się, że duża część tego, co w umysłach powstaje, jest powierzchowna, że powinna budzić niepokój, skłaniać do szukania dróg wyjścia.

Czasy mamy spokojne — to wystarczający warunek do niepokoju wewnętrznego. Takiego przy tym niepokoju, który zmusza do przekroczenia rewirów siebie samego, do rozejrzenia się po świecie polityki, obyczajów, filozofii, nauk społecznych. Do szukania wielkości za tym, co codzienne.

Zauważmy, że zmienił się ostatnio język polityków w naszym kraju. Stał się on bliski realiom, konkretny, przekładalny na język działań. A równocześnie — pozostał on językiem politycznym, tj. takim, który odwołuje się do określonej strategii i taktyki, pozostał językiem wyrażającym interesy określonych warstw społecznych. To nie przypadek, lecz odbicie owych spokojnych czasów. Nie są one gorsze od dawnych. Są — inne po prostu.

Wypada uczyć się życia w spokoju.

JAN KUROWICKI

Niemal wszyscy narzekają na studenckie koła naukowe. Ciągłe mówi się o ich miernej działalności, o kłopotach z naborem, czy wreszcie o elitarnym ich charakterze. Dużo jest w tym prawdy; niewiele Instytutów na naszej Uczelni może się pochwalić sukcesami.

Czy tak musi być, czy nie ma sposobów na ożywienie działalności i popularności Stowarzyszenia Naukowego Studentów?

Środowisko studenckie zbyt mało otrzymuje informacji o SNS-ie, o jego działalności i osiągnięciach. A przecież istnieją na Politechnice koła naukowe — naprawdę aktywne. Myślę tu o grupie studentów zrzeszonych w SNS-ie Wydziału Górniczego. Siedzibą Wydziału jest gmach NOT-u. Tam mają ok. 90% zajęć. Może to wpłynęło na fakt, że tak mało wiadomości o ich wspaniałych imprezach dociera do innych Instytutów. Warto zainteresować się ich działalnością i brać z niej przykład.

Wydział Górniczy jest niewielki, liczy ok. 400 osób (w tym ponad 200, to studenci I i II roku). Koło SNS stanowi liczną grupę — ok. 100 osób. Większość z nich, to studenci lat starszych, ale drugi rok też nie pozostaje w tyle. SNS konsekwentnie realizuje wytyczone cele: poszerzenie horyzontów technicznych studentów, „zgranie” grupy. Dąży do tego, aby doświadczenie i wiedzę przekazać studentom w możliwie dużym stopniu. Wielu członków SNS-u opracowuje prace dyplomowe i doktorskie zgodnie ze swoimi zainteresowaniami, korzystając z przeprowadzonych w czasie studiów badań. Nad całą działalnością SNS czuwa od roku 1972 doc. Ryszard Majchrowicz. Jest świetnym organizatorem, opieką nad swymi studentami traktuje bardzo poważnie. I nie są to kontakty typu przełożony-podwładny. Wśród członków SNS-u, a nawet na całym Wydziale panuje niemal rodzinna atmosfera. W tak zorganizowanej grupie studenci osiągają wielkie sukcesy. Wspomnieć tu należy o konkursie BHP, który wzbudził zainteresowanie na całym Dolnym Śląsku, a nawet za granicą.

Jest to chyba jedyny wydział na naszej Uczelni utrzymujący tak ścisłe kontakty z przemysłem. Tradycją stały się już środowe i piątkowe spotkania z wybitnymi fachowcami z zakresu górnictwa. Gościli u siebie m.in. twórcę podziemnego sposobu wydobywania siarki, twórcę maszyn górniczych, specjalistę z dziedziny wiertnictwa podmorskiego i wielu innych. Uzupełnieniem górniczych dyskusji i zarazem atrakcją są filmy i publikacje z historii górnictwa i najnowszych osiągnięć technicznych, sprowadzane niemal z całego świata. Ogromną pomocą służą studentom zakłady „Cuprum”, „Poltegor”, a także Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Górnictwa (SITG). SNS-owcy zawdzięczają im w dużej mierze możliwość poznania przyszłych przełożonych, warunków pracy górników, profilu pracy danego zakładu, czy wreszcie wycieczki do kopalń. Jednocześnie studenci przekazują kierownictwu kopalń wyniki swoich badań i spostrze-

oby to nie był

wyjątek

żenia. Członkowie SNS-u nawiązali kontakty ze studentami Wydziałów Górniczych z AGH, Politechniki Śląskiej, Akademii Górniczej z Freibergu. Dobiegają końca układy z „górnikami” z Finlandii i Czechosłowacji. Pogłębieniu tej współpracy ogromnie sprzyjało Międzynarodowe Seminarium Wydziałów Górniczych w Karłowie (25-27 X 74 r.). Tak połączyć naukę z dobrą zabawą mogli tylko górnicy. Może tajemnica polega na tym, że SNS i Rada Instytutowa SZSP razem organizują wszystkie imprezy, „rozgryzają” wspólne problemy. Notabene, niemal cały aktyw RI należy do SNS-u i wykazuje się wspaniałymi wynikami. Do takich większych akcji razem zorganizowanych obok tradycyjnych „Barburek” należy Wiosenna Olimpiada Sportowa. Pomysł tak się spodobał wszystkim, że w przyszłym roku Wydział Górniczy będzie organizatorem olimpiady na skalę całej Uczelni. Wróćmy jednak do seminarium. Gospodarze i zaproszeni koledzy z innych uczelni przygotowali referaty uzupełniane przeźroczeniami, wykresami i mapami. Nawet laik nie mógłby zasnąć słuchając i patrząc z

Dziekan Wydz. Gór. doc. dr. T. Żur, opiekun SNS doc. dr R. Majchrowicz, opiekun SNS z AGH prof. dr A. Trembecki.



Dyskusja w kuluarach

Zdjęcia: J. WOJTASIK

„otwartą buzią”. Referaty były wynikiem długich samodzielnie przeprowadzonych badań. Problematyka ich była bardzo różna: zagadnienia z górnictwa odkrywkowego i podziemnego, eksploatacji złóż, opracowania usprawnień maszyn górniczych, badania odkrywcze. Pozwoliło to na wymianę doświadczeń, horyzontalne, nie tylko wertykalne (modne!) spojrzenie na problemy współczesnego górnictwa. Seminarium uświetnili swą obecnością: dziekan Wydziału Górniczego prof. T. Żur, doc. J. Gliński, doc. R. Majchrowicz, prof. A. Trembecki (AGH). Dużym zainteresowaniem cieszyła się dyskusja prowadzona przez płk. mgr inż. J. Gajdę na temat prac wybuchowych w mieście, oraz dr J. Lasko na temat „Perspektywy zagospodarowania surowców skalnych na Dolnym Śląsku”. Żaźarte dyskusje toczyły się również w kuluarach i w trakcie zabaw, do późna w noc.

Atrakcją były wycieczki w góry w śniegu po kolana, wspaniałe zorganizowane wieczorki przy świecach, konkursy, kolokwium zaliczeniowe „na wesoło”, oraz wspólne zakończenie XIII Naukowego Rajdu Górniczego...

W czasie trwania seminarium działała pod kierownictwem Krzysztofa Grabowskiego Agencja Interpil, pilnie śledząca wydarzenia i kontakty towarzyskie. Nad całością władzę sprawował „Dyrektor” — Krzysztof Pilecki. Sprawami organizacyjnymi umiejętnie kierował Staszek Juniewicz (Stosek), a o oprawę plastyczną zadbał Andrzej Grochowski.

Tak, to było na pewno seminarium bez precedensu, zrobione „z głową”. Można pozazdrościć kołu SNS na Górnictwie tak aktywnej i pomysłowej działalności, no i brać z nich przykład.

W PRACOWNIACH NASZYCH UCZONYCH

inżynieria materiałowa

Zakład Inżynierii Materiałowej Instytutu Metaloznawstwa i Mechaniki Technicznej należy do najmłodszych na naszej Uczelni. Powstał zaledwie rok temu, ale ciekawe i oryginalne wyniki prac badawczych sprawiły, że zyskał sobie bardzo dobrą opinię nie tylko na Politechnice, ale w kraju i za granicą.

Kontynuując cykl „W pracowniach naszych uczonych”, zwróciliśmy się do kierownika Zakładu — doc. dr Leszka GOŁASKIEGO i dr Andrzeja PSZONKI z prośbą o przedstawienie problematyki naukowo-badawczej prowadzonej przez Zakład.

Głównym kierunkiem naszych badań są aspekty fizyczne wytrzymałości materiałów. Dotychczas zajmowaliśmy się niskotemperaturową wytrzymałością materiałów specjalnych z teksturą. Szczególnie interesujące jest występujące w tych warunkach przejście plastyczne — kruche, rzutuujące w znacznym stopniu na wytrzymałość materiałów. Jeżeli będziemy obniżać temperaturę takiego materiału poddanego obciążeniu, wówczas w pewnym punkcie krytycznym ujawni się jego kruchość. Jest to bardzo niepożądane zjawisko we wszelkiego rodzaju konstrukcjach maszynowych, bo takie nagłe „skruszenie” materiału może doprowadzić do nieodwracalnego zniszczenia urządzenia.

Udało nam się ustalić, które zjawiska fizyczne są odpowiedzialne za przejścia plastyczno-kruche. Bardzo charakterystycznym przykładem okazał się w toku badań cynk, który został najdokładniej przebadany. Szczególną cechą tego metalu jest występowanie dwóch różnych systemów poślizgu. Można je umownie nazwać systemem „łatwym” i systemem „trudnym”. Udowodniono, że w temperaturach zbliżonych do temperatur ciekłego azotu za własności plastyczne (kruchość) odpowiadają własności systemu poślizgu „trudnego”, natomiast w temperaturach pokojowych własności fizyczne determinuje mechanizm związany ze wspinaniem się dyslokacji. Rozpracowanie mechanizmów fizycznych może ułatwić w praktyce obróbkę mechaniczną blach cynkowych przez wprowadzenie pewnych modyfikacji w procesie walcowania.

Polska jest jednym z głównych dostawców cynku na rynek światowy. Poprawa własności mechanicznych eksportowanych blach cynkowych jest sprawą o niebagatelnym znaczeniu dla naszego kraju. Można się spodziewać, że dzięki wynikom badań uzyskanym w Zakładzie Inżynierii Materiałowej będziemy wkrótce eksportować cynk o lepszej jakości.

Innym ciekawym wynikiem badań jest opracowanie w Zakładzie metody przestrzennego pomiaru stanu odkształcenia pojedynczych kryształów.



Doc. dr Leszek Gołaski

Fot. A. SZYMAŃSKI

Metoda ta polega na wprowadzeniu odkształceń przez mikrozyrwarkę, która sprzężona jest z odpowiednim urządzeniem rentgenowskim, pozwalającym mierzyć odkształcenia w co najmniej 6-ciu kierunkach krystalograficznych. Może mieć ona zastosowanie zarówno w badaniach fizycznych we wszystkich przypadkach, gdy chcemy uzyskać informacje o stanie odkształceń fizycznych kryształów.

Rozwiązanie to jest zupełnie nowe i nie było dotąd prezentowane w żadnym opracowaniu literaturowym. Publikacja na ten temat wywołała zrozumiałe poruszenie i zainteresowanie w wielu ośrodkach naukowych, ściągając na autorów szereg listów z pytaniami o szczegóły technicznoeksploatacyjne. Jeden ze współautorów zaproszony został na Światowy Kongres Badań Nieziszczających do Budapesztu, na którym zreferuje wyniki prac.

Ostatnio rozpoczęto w Zakładzie badania nad monokryształami technicznymi. Ustalono, że duże monokryształy stopów posiadają w pewnych warunkach znacznie lepsze własności mechaniczne od polikryształów. Szczególnie pozytywnie wpływa zastosowanie monokryształów jako tworzywa konstrukcyjnego pewnych części maszyn pracujących w ekstremalnych warunkach pracy. Zwiększa to w sposób wyraźny ich wytrzymałość. Badania te prowadzone są przez Zakład w ramach programu inżynierii materiałowej.

Przy wszystkich prowadzonych badaniach Zakład korzysta z nowoczesnie zorganizowanych laboratoriów i precyzyjnej aparatury. Pod opieką Zakładu znajduje się pracownia rentgenowska wyposażona w dwa dyfraktometry przystosowane do pomiarów naprężeń w warunkach laboratoryjnych i badania struktury kryształu. W najbliższym czasie aparaty te będą sprzężone z komputerem w celu automatycznego przetwarzania danych. Do ciekawych urządzeń wykorzystywanych w badaniach prowadzonych przez Zakład należą: mikroskop rastrowy, aparatura do bezdefektowej obróbki kryształów, umożliwiająca przygotowanie preparatów i obróbkę próbek o dowolnych kształtach, zestaw maszyn do badań wytrzymałościowych w temp. -96°C — $+1200^{\circ}\text{C}$ oraz urządzenia do badań przy obciążeniu dynamicznym.

Zakład Inżynierii Materiałowej zatrudnia zaledwie pięciu pracowników naukowo-dydaktycznych. Liczba ta wydaje się niewspółmiernie mała w zestawieniu z osiągnięciami naukowymi, jakimi Zakład może się poszczycić. Kierownik Zakładu doc. dr Leszek Gołaski otrzymał w roku 1973 Nagrodę Ministra, a prawie wszyscy pracownicy uzyskali w bieżącym roku nagrody J. M. Rektora Politechniki Wrocławskiej.

Dużą wagę przywiązujemy do naboru pracowników i do współpracy z SNS-em. Z każdej konferencji SNS-ów nasi studenci wracają wyróżnieni. Od trzeciego roku studiów studenci już pracują przy niektórych badaniach naukowych i wśród nich szukamy sobie potem pracowników. Opiekun Koła SNS, pracownik naszego Zakładu mgr Stefan Pilcer sam zetknął się w czasie studiów ze studentkim ruchem naukowym. Obecnie ma 26 lat i szykuje się w najbliższych dniach do obrony pracy doktorskiej (bez studiów doktorskich).

Może po prostu trzeba wcześniej zacząć...

Rozmawiała:
MAŁGORZATA KRAMKOWSKA

Na nowiu jedzą kluski z ołowiu

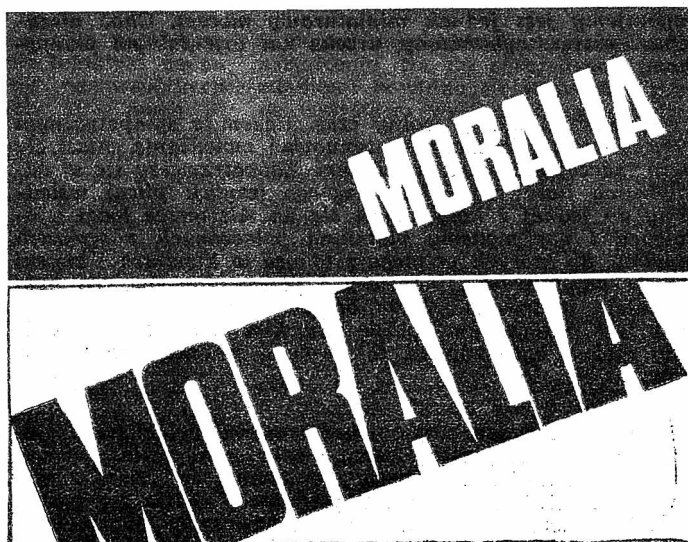
W iara w „lepsze jutro” należy niewątpliwie do szczególnie powszechnych i dokuczliwych bolączek ludzkości. W pewnym sensie każdy wie, że w niedalekiej przyszłości wszyscy pomrzemy, co trudno uważać za perspektywę pociągającą. Z drugiej strony rejestrujemy infantylny optymizm przejawiający się w oczekiwaniu, że przyszłość wynagrodzi kłopoty i niedo-
godności, z którymi borykamy się współcześnie: przyszłość to łąka zalana łagodnym słońcem szczęścia.

Można przewidywać, że w przyszłości będzie się ludziom żyło na ogół lepiej niż obecnie. Można przewidywać, że pod pewnymi względami będzie się im żyło gorzej. Można wreszcie przypuszczać, że z grubsza biorąc będzie z tym tak samo jak jest teraz i jak bywało za króla Cwiczka. Rozstrzygnięcie, która z tych prognoz jest prawdziwa stanowi raczej złożony problem socjologiczny. Zauważmy jednak, problem ten w pewnym sensie nas nie dotyczy: jakkolwiek bowiem będzie w przyszłości: lepiej, gorzej czy tak samo, to będzie tak komuś innemu.

W tym interwale czasowym, który każdy z nas ma do dyspozycji, trudno oczekiwać radykalnych zmian sytuacji w skali społecznej, natomiast indywidualne horoskopy rzadko układają się pomyślnie. O śmierci była już mowa, pomyślny jednak przez chwilę o przykrościach nieco mniejszego kalibru.

Jedna panienska wyszła za mąż i natychmiast wyprodukowała dwoje dzieci. Kalkulowała przy tym przebiegle, że w młodości łatwiej podołać ciężkim obowiązkom, a skoro domęczy się do czterdziestki dzieci będą już odchowane a ona — w sile wieku — będzie się cieszyć samym aromatem szczęścia rodzinnego. Niestety. Po dwóch latach prania pieluszek mąż rozpił się doszczętnie, aby nieco później rozplnąć się we mgle. Pani ma czterdziestkę, sterana duszę i ciało i żał do losu, że od lat nie miała wolnego wieczoru, żeby pójść do kina.

Widzę w tym klasyczny przykład destrukcji osobowości powodowanej przez wiarę w lepsze jutro. Pod wpływem tej złej wiary człowiek spędza życie jak notoryczny pasażer zatłoczonych pociągów. Być może nadzieja, że kiedyś się dojedzie i będzie można wreszcie wygodnie stanąć na obu nogach (czego w pociągu zrealizować nie sposób) pomaga

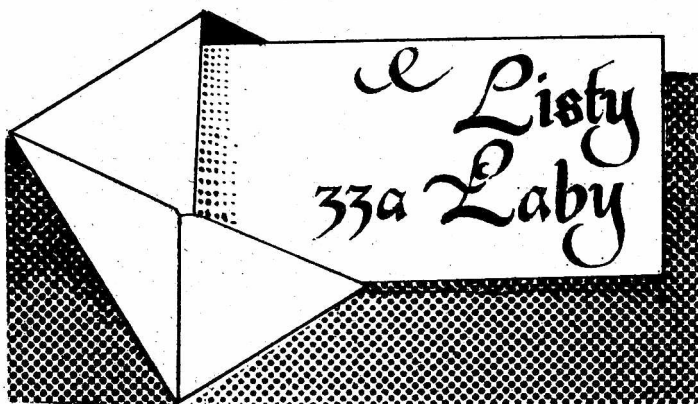


ścierpieć trudy podróży. Być może ulga, jaką odczuwa pasażer w chwili odzyskania wolności daje przeżycie niewysłowionej i nieporównywalnej z niczym rozkoszy. Być może warto żyć dla tej chwili. Ja bym jednak wolał nie jechać (pamiętajmy o tych, nieszczęśliwach, których szlag trafił w pół drogi między Kaliszem a Sieradzem. W Męckiej Woli chociażby. Pamiętajmy o przewidującej panience).

Kompetentni moralisci (mam tu na uwadze osiągnięcia szkoły prof. Fritzhandy) niebicie udowodnili, że „prawdzy” człowiek niczego w życiu nie odkłada. W szczególności nie jest celowe odkładanie czegokolwiek na „czarną godzinę”, chyba że chcemy masochistycznie każdą godzinę uczynić czarną. Być może rację ma Stanisław Lem twierdząc, iż „na nowiu jedzą kluski z ołowiu”, trzeba jednak dodać, że dotyczy to tylko tych, którzy nie zobaczą już pierwszej kwadry.

Paradoksalnym lecz uzasadnionym rezultatem tych rozważań jest twierdzenie, że wiara w lepszą przyszłość utrudnia jej realizację. Przyszłość jest dla nas raczej przedmiotem konstrukcji niż oczekiwania. Rozważana jako przedmiot konstrukcji mieści się jednak całkowicie w teraźniejszości.

WACŁAW MEJBAUM



Pod skrzydłami wujaszka Aleksandra [2] (Autobusem przez RFN)

Po przygodzie na granicy, o której już wspomniałem i dłuższym obiedzie na trasie, osiągamy późnym popołudniem cel naszej podróży. Po słonecznym dniu zapowiada się ciepły wieczór, a to bardzo ważne dla większości z nas, zamierzających jeszcze tego samego dnia wyruszyć na podbój tego, owianego legendą i mitami miasta. Przed wyjściem z hotelu — krótka odprawa. Doświadczony nasz przewodnik

przestrzega przed zasadzkami czyhającymi tu na zbyt naiwnych turystów. Nie myślał przy tym bynajmniej o obronie naszej moralności, był raczej zaniepokojony losem naszych portfeli, co — jak się potem okazało — nie było bez uzasadnienia. Trzech naszych miłych Japończyków wróciło bowiem do hotelu nad ranem z portfelami lżejszymi o okragłe 1800 DM, pełnych troski o to, jak przetrwają do końca wycieczki z resztą sumy przeznaczonej na całą imprezę. Nie pomogła tu nawet Biblia, którą każdy miał okazję przekartkować w swoim pokoju zanim wyruszyliśmy w kierunku St. Pauli, portowej dzielnicy Hamburga stynącej z tego wszystkiego, co najbardziej barwne w marynarskich powieściach. Jarzące się neonami reklamy klubu, kabarety, sauny, eros-centra, kasyna gry zapraszały nie tylko pisany słowem i muzyką dochodzącą z wnętrza. Trzeba było nielada zręczności aby wywinąć się z łap boya wciągającego do mrocznych czeluści, w których światła starczało tylko dla „aktorów” produkujących swój kunszt na mini-scenach. Dzielnie dotrzymywałem kroku mojemu koledze Nikoli z Rumunii. Przemierzaliśmy wzdłuż i w szerz St. Pauli. Nie nabito nas w gębę ani w butelkę. Z ulgą i nienaruszonymi portfelami wróciliśmy do hotelu. Stwierdziłszy, że to, co można zobaczyć w St. Pauli jest jak to się mówi „mocne”, zawsze niesmaczne, a czasami wręcz brutalne. Odnosi się przy tym wrażenie wyraźnego załamania się koniunktury w tej branży. Również dla Hamburga bezpowrotnie minęły lata, kiedy na konhaskiej fali seksu można było zarabiać miliony.

Oficjalne, zorganizowane zwiedzanie miasta zajęło nam przedpołudnie następnego dnia. Poznajemy historię Hamburga liczącą niemal 1150 lat. Podziwiamy stare budowle i nowe dzielnice mieszkaniowe. Dowiadujemy się, że ponad 60% wszystkich czasopism RFN drukowanych jest właśnie w Hamburgu pod opieką i czujnym okiem pana Springera. Kolejna wycieczka z autobusu ma miejsce na bulwarze okalającym leżące w środku miasta jezioro Alster (Alstersee). Tu w okazałych willach rozlokowały się konsulaty niemal wszystkich krajów świata. Powodem, dla którego się za-

trzymujemy jest jednak miniaturowy meczet. Choć niezupełnie jeszcze wykończony, urzeka nas orientalnym przepychem.

Po południu mamy wolny czas. Razem z sympatycznym Norwegiem zamierzamy kontynuować zwiedzanie miast, ale nieco inaczej niż przed południem. Zaopatrzywszy się w odpowiednią ilość napoju chłodzącego (czytaj: piwa) wsiadliśmy do jednej z kołyszących się na Alestersee łodzi wiosłowych i popłynęliśmy płataniną połączonych z jeziorem kanałów, do których przylegają tonące w kwiatkach i zieleni posesje hamburskiej finansjery i przemysłowców. To była uspaniała wędrowka. Nigdy bowiem nie przypuszczałbym, że w tym zatłoczonym kolosie miejskim (1,8 mil. mieszkańców) można było znaleźć tak uroczne zakątki, gdzie tylko przyroda ma głos.

Zachęteni dwugodzinnym wiosłowaniem, uciekliśmy z jeziora przed nadciągającą burzą na krytą pływalnię zwaną przez mieszkańców Hamburga „Schwimmoper”. Taką z rozmachem i solidnie zaplanowaną budowlą będzie się można szczycić jeszcze w XXI wieku. Wnętrze super nowoczesne. Duży, podzielony na sektory basen i, co najbardziej mnie zachwyciło, nikt nie zabraniał skakać do wody z trampoliny lub wieży, co na ogół w naszych pływalniach jest nie do zrealizowania. We Wrocławiu np. dostępny jest dla publiczności praktycznie tylko jeden kryty basen i to niewiele godzin w tygodniu. Trudno wówczas w nim popływać, a skakanie jest niebezpieczne nawet ze słupka startowego (a co dopiero z trampoliny).

Wieczorem o 20-tej jesteśmy w operze. Nie mieliśmy szczęścia zobaczyć albo usłyszeć czegoś godnego uwagi. Wokaliści, jak potem twierdzili znawcy z naszej grupy, nieładzi. Fabuła opery banalna, miejsce na trzecim balkonie oraz błogi bezwład w miejscach po podwójnej dawce sportów wodnych dopełniły resztę. Fotel okazał się niezbyt wygodnym meblem do snu, z którego jednak pod koniec obudziły mnie grzecznościowe oklaski. Ubawiłem serdecznie kolegów, gdy przy prezentacji zespołu wziętem dyrygenta orkiestry za lokaja, od czasu do czasu przewijał się w pierwszym akcie przez scenę.

Chciałbym podkreślić, iż daleki jestem od tego, by na podstawie jednego niefortunnego wieczoru wystawić negatywną cenzurkę życiu kulturalnemu Hamburga. Jest bowiem wręcz przeciwnie. Śledząc emisję hamburskiego teatru telewizyjnego oraz notatki w prasie codziennej, można tylko pożałować poziomu, bogactwa form oraz przeźroczliwości i inwencji ludzi odpowiedzialnych za kulturę w tym mieście. Nie ma żadnego innego miasta w RFN, które by wkładało tyle wysiłku i dobrej woli, by pokazać swoim obywatelom kulturę i sztukę całego świata. W repertuariach teatrów, filharmonii i kin licznie reprezentowane są także utwory z krajów socjalistycznych. Na estradach i w salach wystawowych demonstrują swoje umiejętności artyści z całego świata, w tym również — i to nierzadko — z Polski. Systematycznie organizowane są w Hamburgu różnego typu festiwale oraz dni kultury tego czy innego kraju.

No tak, ale być w Hamburgu i nie zobaczyć portu oraz stoczni, to — jak mówi stare przysłowie: być w Rzymie i nie widzieć Papieża. Nasz kolejny dzień pobytu rozpoczęliśmy od wizyty w stoczni. Tak się złożyło, że trafiliśmy do takiej, gdzie budowane są dla Polski dwa olbrzymie tankowce. Jeżeli dobrze usłyszałem w stoczniowym huku, to każdy z nich ma posiadać wyporność 200 tys. ton. Kolosy rzeczywiście imponujące. Sama jednak stocznia nie budziła zachwytu swoją nowoczesnością i wyposażeniem. Stocznie w Gdyni czy Szczecinie wydawały mi się bardziej nowoczesne. Specjalnością wszystkich hamburskich stoczni są także okresowe remonty olbrzymów morskich. Wprowadza się je nad zatopiony dok, a następnie w ciągu kilkunastu godzin wypompowuje się wodę z potężnych komór, które podnoszą dok wraz ze statkiem na wysokość kilku pięter jak dziecinną zabawkę. Trochę niesamowite ma się wrażenie w czasie spaceru po dnie takich gigantów wyniesionych z wody nad jej powierzchnię. W ten sposób udostępniony ludziom i maszynom kadłub statku oczyszcza się z zarośli i skorupiaków, by następnie tysiące metrów kwadratowych pokryć na nowo kilkoma warstwami farb konserwujących. Trudno uwierzyć, że wszystkie te czynności trwają zaledwie kilka dni. Z reguły po tygodniu dwustutysięcznik znów gotowy jest do drogi.

Strudzeni wizytą w stoczni, z aplauzem przyjmujemy propozycję wujaszka Aleksandra, by pójść do stylowej, portowej restauracyjki, mieszczącej się w baraczkach na pontonie

przycumowanym do nabrzeża. Specjalnością zakładu są olbrzymie rozmiarów flądry z rusztu. Obok tego w karcie dziesiątki innych dań, od najbardziej egzotycznych przedstawicieli tego gatunku do pocziwego śledzia. Choć niezwykle apetycznie wyglądały na talerzach owe flądry z rusztu, to jednak mając na uwadze owe setki ości tkwiących w tym znakomitym daniu, zrezygnowałem z niego na rzecz filetu z rekina. Nie dostarczył on jednak mojemu podniebieniu oczekiwanych wrażeń, ale za to nie stwarzał najmniejszych problemów technologicznych w czasie spożywania.

Po obiedzie, w oczekiwaniu na statek, którym mieliśmy odbyć przejażdżkę po porcie, spacerujemy po tarasowo wzdłuż portu rozłożonej części miasta. To właśnie peryferie dzielnicy St. Pauli. Na wąskich uliczkach małe sklepiki, gdzie można nabyć najbardziej fantastyczne przedmioty. Ordery hitlerowskie obok dewocjonaliów, przedziwne muszle i złote rybki, wypchany jak żywy — pies oraz najprzeróżniejsze stare rupiecie przykryte budzącą szacunek warstwą kurzu. Tu i ówdzie pomiędzy sklepikami — małe, trzeciorzędne burdele. Przed drzwiami lub w oknach wygrzewają się w słońcu mocno już zmęczone przedstawicielki najstarszej ponoć pod słońcem profesji.

Potem przejeżdżka. Reški, morski wiatr smaga nasze twarze. Odbijamy od mola i podziwiamy panoramę miasta z perspektywy portu. Przed nami otwiera się wielki port; 62 baseny portowe, 65 km nabrzeża do wyladunku i załadunku statków. Łączna długość linii brzegowej — 270 km. Na nabrzeżach i pokładach przycumowanych statków widać pracę. Gdzieś wysoko nad lukiem statku kołysze się na haku kontener pełen samochodów osobowych. Przy tzw. nabrzeżu bananowym pozostawia swój słodki ładunek grecki frachtowiec. Jest też w hamburskim porcie nabrzeże polskie, a przy nim trzy nasze jednostki. Według informacji portowego przewodnika, płynący z magnetofonów zainstalowanych na pokładach naszego stateczku, polska bandera jest regularnym i częstym gościem w porcie. Nie ma dnia w roku, w którym polskie nabrzeże byłoby puste. Nasi armatorzy PLO i PZM są liczącymi się partnerami w obrotach towarowych portu.

Nasza trasa wiedzie dalej przez baseny, do których przylegają stocznie. Jeszcze raz, tym razem jednak od strony wody, widzimy potężne kadłuby tankowców budowanych dla Polski. W jednym z zakątków portu uwagę naszą przyciąga dziwaczna konstrukcja złożona z czterech wystających z wody cylindrów, powiązanych ażurowymi pomostami. Jak się okazuje, jest to pływająca wieża wiertnicza, służąca do geologicznych poszukiwań złóż mineralnych leżących pod dnem morskim. Aktualnie trwają gorączkowe poszukiwania ropy naftowej w basenie Morza Północnego, które jak wiadomo przyniosły już obiecujące rezultaty. Kierując się już ku naszej przystani, zaliczamy jeszcze basen pasażerski. Stoją w nim rasowe sylwetki pełnomorskich statków wycieczkowych. Hamburg posiada regularne, codzienne połączenia promowe z Anglią i Norwegią. Po dwóch godzinach kołysania się na portowej fali, jesteśmy znowu na lądzie. Na krótko zjeżdżamy jeszcze do tunelu biegnącego pod basenami portowymi i Łabą do stoczniowej części Hamburga. Codziennie tysiące ludzi i setki samochodów przejeżdżają tym tunelem zakończonym po obu stronach potężnymi windami wynoszącymi pojazdy i ludzi na powierzchnię. Tunel ten, służący już od 1911 roku, uważany jest za pionierską budowę tego typu w świecie. Aktualnie są w toku prace przy podobnym tunelu, którym przebiegać ma sześciopasmowa autostrada Lizbona—Sztokholm.

Pełni wrażeń, wracamy strudzeni do hotelu. Nikt z nas nie ma już ochoty na „Hamburg by night”. Następnego dnia wyruszamy do Münster, kolejnego etapu naszej podróży. Zanim jednak definitywnie opuściliśmy Hamburg, musiał „Onkel Aleksander” skapitulować przed powszechną chęcią obejrzenia słynnego niedzielnego Targu Rybnego. Oczywiście nie tylko w ryby można było się tam zaopatrzyć. A atmosfera podobna do tej sprzed lat na naszym Placu Nankiera, tyle, że 10-krotnie spętowana. O mały włos, a byłbym się w tej płataninie bud i straganów, urzasku sprzedawców oraz powszechnym tłumie zagubił. W ostatniej chwili dopadłem już ruszającego autobusu i dzięki temu mogłem bez przeszkód dalej uczestniczyć w „Tour de Alemagne”.

Wasz zhelmuciasty

Chimek

Brunszwik dn. 15.09.1974 r.

Dokończenie ze str. 3

zeń produkowanych na skalę przemysłową. W Związku Radzieckim wykonano już model maszyny synchronicznej, w Czechosłowacji model maszyny prądu stałego, a w NRD również model maszyny synchronicznej. Możemy jednak stwierdzić, że nasze rozwiązania są już rozwinięciem zbudowanych modeli maszyn, co oznacza pewien postęp w technice budowy kriomaszyn.

Prof. Jarosław Juchniewicz: W dziedzinie badania kriokabli w Krajach Demokracji Ludowej, wiele robi się w Związku Radzieckim, a poza tym w NRD, Czechosłowacji, Rumunii i u nas. Porównując naszą sytuację do postępu badań w krajach kapitalistycznych, należy stwierdzić, że wyprzedzają nas znacznie takie kraje jak Japonia, Stany Zjednoczone i Francja. (Na konferencji poświęconej zagadnieniom krioelektrotechniki, która miała miejsce w Japonii w roku bieżącym, omawiano między innymi problemy kriokabli w energetyce — otóż Japończycy spodziewają się w przyszłym roku wybudować pierwsze linie energetyczne z zastosowaniem kriokabli).

Współpraca środowiska naukowego Wrocławia w dziedzinie kriogeniki i krioelektrotechniki.

Prof. Bogdan Sujak: Jeżeli chodzi o współpracę z Politechniką Wrocławską to mam nadzieję, że będzie się ona układała coraz lepiej i w najbliższym czasie przybierze jeszcze bardziej konkretną formę. Obecnie nasze kontakty z grupą zajmującą się kriokablami w Politechnice Wrocławskiej ograniczają się do spotkań w ramach koordynacji problemu węzłowego. Spotykamy się też na wspólnych corocznych ogólnopolskich seminariach z kriogeniki, organizowanych przez Polską Akademię Nauk. Kontakty te nie można jednak uważać za wystarczające, gdyż są one okazjonalne i nie umożliwiają współpracy na co dzień. Wydaje mi się, że konieczne byłoby środowiskowe scementowanie zainteresowanych problemami kriogeniki; uważam, że zjednoczeni nieformalnie lub formalnie (w sensie środowiskowym) stanowilibyśmy duży potencjał naukowy i to nie tylko w skali ogólnopolskiej.

Dr inż. Franciszek Gabryś: Obecnie najściślej współpracujemy z Instytutem Niskich Temperatur Polskiej Akademii Nauk, który wykonuje dla nas badania zarówno z techniki próżni niskotemperaturowej, jak i nadprzewodników. Rozpoczęliśmy również współpracę z Instytutem Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów Politechniki Wrocławskiej, mając na uwadze przebadanie pewnych konstrukcyjnych elementów uszczelnienia. Chcielibyśmy aby nasza współpraca z innymi Instytutami Politechniki przybrała bardziej realną i konkretną formę.

Moim zdaniem współpraca środowiska naukowego z przemysłem powinna układać się w ten sposób, by wspólne osiągnięcia zapewniły również pewien postęp — i to zarówno w nauce jak i w technice. Realizowana tematyka powinna być wspólnie konsultowana i wspólnie powinno się ustalać kierunki działania tak, aby wyniki badań były wzajemnie użyteczne oraz przydatne

dla praktyki i ciekawe dla naukowca. Uważam, że „ustalenie tematyki badań powinno odbywać się na wspólnych spotkaniach roboczych. Nie mogą to jednak być tematy, z których każdy jest ciekawy oddzielnie, a brakować tematów łączącej problematykę w jedną całość. Wydaje mi się, że obecnie koordynacja badań z punktu widzenia zastosowań w technice już jest niezbędna.

Kształcenie w kierunku kriogeniki i krioelektrotechniki.

Prof. Bogdan Sujak: Mam na myśli regularne, programowe studia. Różne dłuższe lub krótsze kursy dokształcające w zakresie kriogeniki były już kilkakrotnie organizowane na terenie Wrocławia. Nie ułatwia to sprawy wykształcenia nowych kadr młodych kriogeników na potrzeby przelomu wieku XX i XXI. W tej sytuacji wszyscy moi aktualni pracownicy są stale dokształceni w Instytucie. Są to absolwenci kierunku Fizyki Ciała Stałego, jedynie z dodatkowym uzupełnieniem w zakresie kriogeniki.

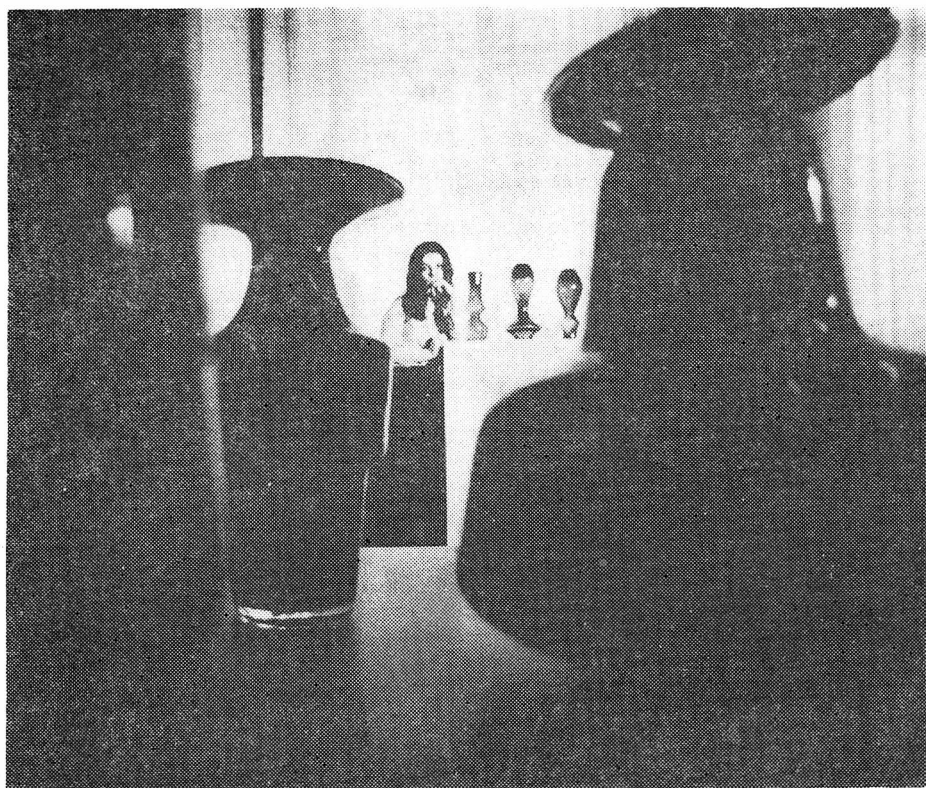
Nie ulega wątpliwości, że środowisko wrocławskie jest najbardziej predysponowane w Polsce do podjęcia normalnego kształcenia kriogeników-fizyków i kriogeników-techników. Wydaje mi się, że właśnie w Politechnice Wrocławskiej można by utworzyć taką specjalizację, powiedzmy na trzecim lub czwartym roku studiów. Mogłyby to być studia prowadzone wspólnymi siłami przez środowisko naukowe Wrocławia. Kształcenie w zakresie kriogeniki musi obejmować ćwiczenia laboratoryjne w nowoczesnej, dobrze wyposażonej pracowni. W budującym się gmachu Fizyki Doświadczalnej przewidziano taką pracownię, ale będzie ona dostępna dopiero około roku 1978. Być może, że Politechnika będzie w stanie szybciej zapewnić odpowiednie pomieszczenia i środki finansowe, a wówczas

wspólnie moglibyśmy rozpocząć takie kształcenie. Na tej specjalizacji (moim zdaniem) powinno się prowadzić przede wszystkim wykłady z zakresu fizyki próżni, fizyki i technologii ciała stałego oraz technologii obróbki i łączenia materiałów kriogenicznych. Wykłady takie winny być prowadzone co najmniej przez jeden rok równoległe z podjęciem pracy dyplomowej (eksperymentalnej) w aspekcie kriogeniki. Osobiście chętnie podjąłbym się trudu takiego kształcenia po otrzymaniu gwarancji lokalowej i odpowiednich środków, tym bardziej że w naszym wrocławskim środowisku rozwinęły się już dostatecznie liczne kadry praktykujących kriogeników. Wydaje mi się również, że kandydaci na przyszłych kriogeników powinni rekrutować się z różnych wydziałów, takich jak: elektryczny, mechaniczny, ochrona środowiska, a nawet z kierunków fizyki. Pozwoliłoby to na wytworzenie specyficznego, interdyscyplinarnego myślenia naukowego. Słuszność takiego przedsięwzięcia potwierdzają (jak się wydaje) rodzące się już potrzeby przemysłu.

Prof. Jarosław Juchniewicz: Ze swojej strony chciałbym dodać, że w Instytucie Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii prowadzony jest już wykład z krioelektrotechniki przeznaczony dla inżynierów elektryków zamierzających pracować w tej specjalności, ponadto wykład taki prowadzony jest również dla studentów Wydziału Elektrycznego na specjalizacji: technologia elektrotechniczna. Corocznie Instytut nasz opuszcza kilku dyplomantów, których tematyka prac dyplomowych związana jest z krioelektrotechniką. Absolwenci ci oprócz dyscypliny elektrycznej zapoznawani są dość szczegółowo z zagadnieniami związanymi z techniką niskich temperatur.

Dyskusję prowadziła i opracowała:
STANISŁAWA SZULC

Fot. J. OLEK



Nieśmiertelny przykład don Kichota z la Manczy, walczącego z wiatrakami, bo o poważnego wroga już wtedy było trudno, jasno uwidacznia przynajmniej jedną sprawę: palącą potrzebę substytutu. Dla pewnej odmiany rodzaju ludzkiego, np. dla rozmiłowanych w ciastkach niewiast po czterdziestce, substytut staje się poniekąd jedną z ostatnich, jeśli nie ostatnią ideą fixe. Problem jest zatem przynajmniej jeśli nie specjalnie głęboki, to — w jak największej mierze życiowy.

Świadomość ludzka i produkty jej działania jest z reguły zawsze czymś integralnym. Skłonność do porządkowania, klasyfikowania, ponownego zbierania tego wszystkiego, co się podzieliło, w kupe, zdaje się być typową namietnością Europejczyka, wyuczonego na Arystotelesie, Kartezjuszu i współczesnych pozytywistach. Zawsze jednak odczuwa on coś w rodzaju wstydu, kiedy zauważy posiekaną w kawałki rzeczywistość; sąsiedztwo z pobratymcem w krótkich majteczkach, rozbebeszającego niedźwiadka zdaje się być bardziej niż naturalne.

Typowe przeciwieństwo pomiędzy skłonnością do analizy a chęcią zachowania wyobrażenia o całości jest chorobą trapiącą w równej mierze tzw. przeciętnego człowieka, jak i uczonego. Przechodzień z ulicy może się wszak ratować argumentem, iż z natury musi być synetykiem, bo zmusza go do tego życie po prostu. W nauce tego rodzaju argumentacja jest mało poważna, w jeszcze mniejszej mierze — dowodliwa. Generalnie rzecz biorąc, wszystko, co w nauce opiera się na związkach naturalnych, bądź niezdarnie ukrywa pokrewieństwo z naturą — jest podejrzane, mętne, niewiarygodne.

Nauka jest zatem analityczna, bo taką być musi. Wizja całości kształtowana jest zatem w jej obrębie jakoś inaczej, co więcej — kosztuje ona z reguły dość dużo. Z innej perspektywy, dajmy na to, filozoficznej, kosztta nie wykazują specjalnej różnicy względem tego, co nieco ogólniej nazywane było omyłką. Otóż wysoka cena precyzji, uroku analizy, porządku i klasyfikacji równa się poniekąd cenie, jaką płacimy za przeoczenie lub brak umiejętności budowania syntez, powiązań mniej trywialnych od takich, które polegają na sumarycznym dodawaniu.

Nauka musi więc posiadać substytut, skoro nie potrafi zdobyć się na coś lepszego. Niech substytut oznacza tutaj zastępowalność pewnej cechy, o której wiemy, że powinna integralnie wiązać się z metodą naukową, która to cecha z jakichś powodów chwilowo lub w ogóle leży poza zasięgiem nauki, jakkolwiek jest jej ideałem. Niech tą cechą będzie budowanie syntez, a niebabranie się w analizach i przyczynkach. Zobaczmy na kilku wybranych przykładach jak idea zastępowalności kształtowała się w pewnych okresach historycznych w niektórych dziedzinach poznania naukowego.

Jedną z wielkich namietności tzw. pozytywizmu wiedeńskiego (kierunku we współczesnej metodologii nauk empirycznych) była idea absolutnego ordnu-

nauka i jej substytuty

Tadeusz
Zielichowski

gu logicznego i teorii naukowych, które całkowicie sprowadzałyby się do wiedzy empirycznej, a ściślej — do świata takiego, jaki jest oglądany. Idea ta, rzecz jasna, niezmiennie pozytywnie wpłynęła na samoświadomość wiedzy naukowej, szczególnie humanistycznej, miała ona wszak tę paskudną cechę, iż była cokolwiek oszczędnie przykrojona. Znalazło to odbicie w poglądach politycznych twórców wzmiarkowanego kierunku; nie mieszcząc się w ramach statycznego, podzielonego obrazu świata, jaki sobie dobrowolnie zafundowali, żywili oni co najmniej radykalne poglądy polityczne, lub raczej — dobrowolnie akceptowali taki ideologiczny obraz świata, który był w ich deklaracjach ścisłym odwróceniem obrazu świata implikowanego przez obraz nauki, jaki sobie zafundowali.

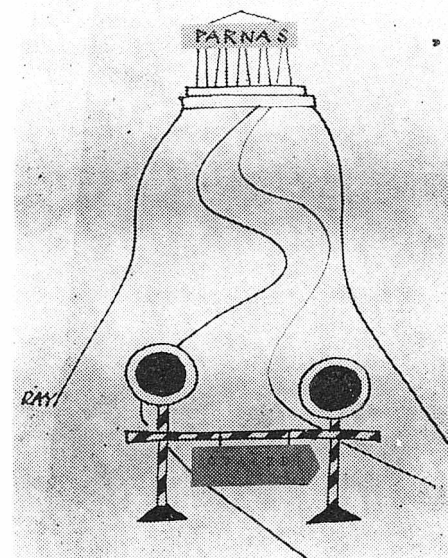
Przykład drugi — socjologia. Wiedza o przeszłości jest — jak do tej pory — wyłączną domeną szeroko pojmowanej historii. Nie istnieje jeszcze sensownie uprawiana socjologia historyczna, jakkolwiek potrzeba istnienia tej nauki jest oczywista. Można by powiedzieć — jest chłop, a pola nie ma. Substytutem dla wyspecjalizowanej gałęzi tej wiedzy — socjotechniki historycznej, musi być zatem np. sztuka. Istotnie, literatura okresu elżbietańskiego w Anglii staje się jedyną ewidencją empiryczną, na podstawie której, substytucjonalnie, można sądzić, iż ówczesni władcy przejawiali zdumiewające zainteresowania socjotechniczne, co więcej, nie obca by-

ła im idea władzy. Przypadek, jaki omówilem powyżej, jest szczególnie drastyczny — substytut nie tylko uzupełnia to, czego nauka jako taka nie potrafi się dorobić (a więc — idei spojrzenia syntetycznego), ale staje się po prostu warunkiem istnienia określonej nauki — wzmiarkowanej socjotechniki.

Przykład trzeci — znowu metodologia nauk. Pewien angielski uczony — Karl R. Popper, osiągnąwszy niejaką kompetencję w odpowiadaniu na pytanie: czym jest nauka, nie zdołał rozwikłać zagadki, skąd się ona bierze. Nota bene, jest to jeden z bardziej zagmatwanych problemów o tradycji — jak powiada mój pewien znajomy — tak paskudnej, że nie warto jej tutaj ewokować. Wzmiankowany wyspiarz wpadł na pomysł, aby to, co jego poprzednicy — pozytywści nazywali metafizyką, uczynić źródłem, z którego uczony bierze pomysły — hipotezy, pytania wobec świata itp., itd. Wyjaśnienie genezy lub — jak kto woli — jednostkowych i psychologicznych źródeł postępowania uznawanego za naukowe odbyło się za sprawą chytrze przywołanego substytutu.

Nauka oczywiście nie posiada wyłącznego przywileju w operowaniu substytutami. W kontekście szeroko rozumianego kryzysu określonych wartości kultury i sztuki XX wieku, po tę wątpliwą reputację broń sięgają inne formy świadomości społecznej — wystarczy prześledzić historię najnowszej literatury. Idea unaukowionej poezji, recepcji pisania powieści w oparciu o znajomość fizyki relatywistycznej, zdają się wskazywać, iż sztuka nie mogąc realizować roli dlań typowej i kształtować funkcji organicznie z nią związanych — sięga po substytuty na teren nauki. Trudno wszak nie zauważyć, iż sztuka nie odgrywa już — obiektywnie — roli tak doniosłej społecznie, jaka jest przywilejem nauki. Ta ostatnia wszak z czegoś jednostkowego przekształca się w ciąg ostatniego stulecia w bezpośrednią siłę wytwórczą. Preceder substytutu w sztuce nie jest zatem czymś specjalnie groźnym społecznie, jakkolwiek niepokoi. W nauce zaś — pomysł zastępowalności może się, delikatnie mówiąc, nie opłacić. O reszcie nie mówmy, nadchodzi wieczór.

Rys. RAY



Rozważania

Marginesowe

W różnorodnych ankietach, kwestionariuszach i przy wszelkich innych okazjach studencka społeczność naszej Uczelni dzieli się na wszystkie możliwe sposoby. A to według wydziałów, lat, pochodzenia, wieku, przynależności do organizacji itp. Wydaje mi się jednak, że jednym z podziałów najwyraźniej rozróżniających studentów tak na co dzień, w ich zwykłym roboczym dniu jest podział na „tych z akademika” i „tych mieszkających u mamy”. Akademik stał się tak samo nieodłącznym atrybutem studenckich lat jak sala wykładowa, czy dziekanat. Setkom studentów zastępuje on w końcu rodzinny dom. W codziennej bieganiu rzadko pamiętamy o tym, że w jednej grupie studenckiej ktoś tam jest z akademika, a ktoś mieszka u rodziców. A jednak podział ten zaczyna się bardzo wyraźnie tuż za bramą Uczelni, kiedy jedni kierują swe kroki do rodzinnego domu, a drudzy do akademika, gdzie zaczyna się ich stricte akademickie życie. Nie chcę tu powiedzieć, że jeden sposób przeżywania akademickich lat jest zasadniczo lepszy czy gorszy od drugiego. Dom studencki stał się tak powszechnym elementem naszego otoczenia, że zazwyczaj zupełnie uchodzi naszej uwadze jego specyfika — jako miejsca realizacji tzw. studenckiego życia. A jednak wiele prawdy jest w stwierdzeniu, że „życie akademika ma swój styl”.

Stylowe życie

Tomasz Wielicki

Na dużym, czteropiętrowym budynku przy ul. Curie-Skłodowskiej 23 jest tablica: Dom studencki *Sezam*. Mieszka tu 120 studentów. Jest wśród nich grupa studentów z Węgier i NRD. Są także studenci z Afryki. Już sam fakt wielonarodowego składu mieszkańców jest dość ciekawy. Zawiązują się bowiem w ten sposób przyjaźnie, z których wynika wiele korzyści. W długich wieczornych zaciśkach można poznać historię, kulturę i współczesne życie innego kraju, czasami nauczyć się kilku podstawowych słów w innym języku, podyskutować o problemach politycznych, dokonać porównań i kibicować międzynarodowej rywalizacji gospodarczej, kulturalnej czy społecznej. Wszystko to ma specyficzny posmak bezpośrednich, koleżeńskich kontaktów z przedstawicielami innych narodów. Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego o tym zjawisku stanowiącym o specyfice życia w akademiku napisałem w pierwszym rzędzie. Może dlatego, że w czasie dwóch lat swego pobytu w DS *Sezam* właśnie te kontakty stanowiły dla mnie największe novum w porównaniu z poprzednimi latami obijania się po stancjach.

Mieszkańcy „Sezamu” mieszkają różnie — w pokojach dwu-, trzy- i czteroosobowych. Bywa i ciasniej. Coraz częściej jednak mówi się już o nowym niemal wykonanym akademiku przy ul. Wittiga. Małosobowy pokój ciągle jeszcze jest marzeniem dla studentów I, II i III roku. Ci starsi, z reguły to marzenie realizują.

Administracja domu z panią kierowniczką Stefanią Brzozowską jak zwykle na początku października ma pełne rę-



Kierownik domu akademickiego „Sezam” — Stefania Brzozowska

Fot. A. SZYMANSKI

ce roboty. Na zapisanych kartkach pojawiają się na biurku pani kierownik setki wariantów rozdziału miejsc. Sprawa każdego studenta jest „najważniejsza”, chodzi przecież o warunki życia i nauki na cały rok. Wymagania studentów są duże, wymagania Pionu d/s Studenckich kierującego ciągle nowych studentów do DS-u — również, a miejsce jest ciągle tyle samo. Trzeba czasami dokonywać cudów, aby to wszystko pogodzić. Jakoś jednak zawsze się udaje. Po raz już któryś z kolei w *Sezamie* studenci zaczynają się urządzać. Oprócz łóżka, szafy, półki na książki i szuflady w stole należy się mieszkańcom jeszcze sporo akcesoriów, które pani Danusia wydaje z magazynu. A więc wędrują po piętrach lampki, popielniczki, kosze na śmieci, miotły, miednice, zasłony na okna itp. Po dodaniu do tego własnej maty, kilku plakatów, zabytkowej lampy i odrobiny inwencji — powstaje w końcu coś, co można nazwać „własnym kątem”. Bywa, że w jednym pokoju powstaje tych kątów więcej niż rogów tego pokoju. Tworzy się z tego (czasami przy pomocy wybrakowanych zasłon) mały labirynt pokoików o wymiarach metr na dwa metry, ale i to ma swój smak.

Jedną z głównych cech jaką wyraża w człowieku mieszkanie w akademiku jest umiejętność życia w grupie. I to w dwóch różnych aspektach. W tzw. życiu prywatnym trzeba nauczyć się mieszkać na co dzień w grupie kolegów, wspólnie gospodarować, wspólnie dbać o porządek, wspólnie uczyć się bawić. Nie jest to takie proste, jakby się wydawało. Właśnie tu można, a nawet trzeba nauczyć się stosować w praktyce pewne zasady współżycia, które potem się w życiu na pewno przydadzą jak np. kultury na co dzień czy decydowania przez większość. Drugi aspekt, to umiejętność życia w społeczności akademika jako całości. Umiejętność reprezentowania całego DS-u, organizowania jego życia w sferze nauki, kultury, sportu — to sprawa o wiele trudniejsza. Ale istnieje też dlatego powołana do realizowania tych funkcji odpowiednia instytucja, — Rada Mieszkańców. Przewodniczący Rady Mieszkańców w *Sezamie* — Lucjan Danków mówi o swojej pracy: „kierowanie takim ciałem jak Rada Mieszkańców nie jest sprawą łatwą. Coraz mniej ludzi jest chętnych do pracy, coraz więcej takich, którzy wolą narzekać na brak operatywności Rady. Mamy w *Sezamie* niezłe warunki do działania. Jest przecież jeden z lepszych klubów Politechniki — „Pod Wiklinami”, jest radiowęzeł, jest prowizoryczne boisko, salka do ping-ponga itp. Są w końcu ludzie, młodzi, mądrzy, pełni ikry życiowej. A mimo to zorganizowanie jakiejś wspólnej imprezy jest ciągle sprawą trudną. Może jest to efekt braku wolnych godzin w studenckim rozkładzie dnia, a może po prostu popularyzujący się konsumpcyjny stosunek do życia (tego akademickiego również). Trudno na to pytanie odpowiedzieć.

Faktem jest, że w czasie jednej kadencji Rady trzeba było prawie całkowicie zmienić jej skład. Nie mamy praktycznie żadnych metod rozliczania ludzi z powierzonych im zadań. A swoją drogą, to przykro, że takich metod musimy poszukiwać. Były również inicjatywy które nam się powiodły i które świadczą o tym, że ciągle są szanse na lepszą pracę. Funkcjonuje radiowęzeł nadający co jakiś czas swoje audycje, prowadzony jest stale konkurs czystości, organizowane były rozgrywki w piłkę nożną między wydziałami, jak również mecze międzynarodowe z naszymi kolegami z NRD i Węgier itp. Cały pesymizm, jaki wyczytałem pewnie z początku mojej wypowiedzi wynikał z głębokiego przekonania, że to wszystko, co robimy w *Sezamie* w celu wspólnego zorganizowania życia tych kilkuset studentów, to o wiele za mało w stosunku do nowych możliwości”.

W sumie jednak życie w *Sezamie* toczy się dalej. Dzień po dniu. Może, jak mówi Lucjan — mogłoby się ono toczyć lepiej i ciekawiej, ale pomimo to ma ono swoje barwy, gdy się na nie patrzy z pewnego dystansu. Szuranie po korytarzu przysłowiowych studenckich przydeptanych kapci zaczyna się już przed siódmą rano. W umywalni zaczyna się robić tłoczno. Ktoś tam narzeka, że znowu nie ma ciepłej wody (a czasami rzeczywiście nie ma). Potem trzaskanie drzwiami (często o wiele za głośne), tupot nóg po dudniących schodach. Większość mieszkańców wraca z zajęć między 14.00 a 15.00. Wtedy praktycznie zaczyna się dzień akademika. Na portierni jak zwykle towarzyszy portierce kilka osób czytających gazety, czy prowadzących towarzyskie rozmowy. Bo wszystkim mieszkańcom



Klub „Pod Wiklinami”

Fot. A. SZYMANSKI

akademików powszechnie wiadomo, że portierka w DS-ie jest jedną z ważniejszych osób. Od niej można bowiem najszybciej dowiedzieć się o tym, że przyszły nowe lampki, albo — że będą jutro wydawali kołdry i żeby przyjść wcześniej, bo dla wszystkich nie starczy i że ten pan K z trzeciego piętra przyszedł w nocy na gazie i śpiewał... Często ruch na portierni spowodowany jest dużą liczbą interesantów, którym portierka wypożycza żelazka, odkurzacze, froterki. Jeszcze więcej kandydatów jest do korzystania z telefonu.

W pokojach zaczynają się porządki, przygotowania do wieczornych imprez

lub generalnie rzecz biorąc — rozrywki, czyli gazety, radio, czasami karty. Musi być również czas na zrobienie zakupów w pobliskim sklepie. Na tyłach „Sezamu”, na małym, ogrodzonym boisku nigdy nie zabraknie kilku amatorów futbolu. Przechodzą w nim kole-dy z Węgier. W małej salce przy portierni ktoś gra w ping-ponga, a w sali nauki ciągle jeszcze brak naukowej atmosfery. Kiedy zbliża się wieczór, na arenę życia Sezamu wchodzi klub *Pod Wiklinami* — często z bardzo atrakcyjnym programem. Największą popularnością cieszą się niezmiennie sobotnie i niedzielne ubawy. Następuje wtedy

wśród studentów specyficzna wymiana. Opuszczają wtedy akademik w pośpiechu grupki gładko wygolonych, starszej niż zwykle przyczesanych panów udających się na ubaw do żeńskiego akademika, a za to w holu Sezamu pojawiają się dziewczęta. Ze statystyk i tradycji wynika, iż największa więź natury towarzyskiej i nie tylko, zawiązała się tu z akademikiem dziewcząt — „Pancernik”. Fakt ten wykorzystano organizując w klubie „Pod Wiklinami” rokrocznie zawody między reprezentacjami obu DS-ów.

Również wieczorem można w *Sezamie* spotkać nieodłącznego pana Feliksa, który przechadzając się po pokojach zawiadamia wszystkich, że nagrzal mnóstwo ciepłej wody i że „można by się panie tego wykapać”. Jednym z centrów wieczornego życia Sezamu jest sala telewizyjna. Szczególnie w czasie transmisji sportowych salka przeżywa szczyt swoich objętościowych możliwości. Jeżeli ktoś z PT. Czytelników nie miał jeszcze okazji oglądania meczu piłki nożnej w salce nabitej po brzegi studentami, z których każdy jest najlepszym ekspertem na sali — to radzę zobaczyć. Są to najczęściej dwa wspaniałe widowiska za jednym zamachem.

Dopiero późnym wieczorem zaczyna się w *Sezamie* „naukowe” życie. W sali nauki długo nie gaszą światła. W pokojach zapada cisza i słychać tylko wertowanie kartek, skrzypienie piór i redisów. Radiowęzeł nadaje program nocny, który razem z odrapanym czajnikiem i szklanką herbaty stanowi nieodłączne tło nocnych, naukowych zmagania. Szczególnie w czasie sesji dla jednych się ten dzień jeszcze nie skończy, gdy dla innych zaczyna się już następny. I tak to leci. Czasami mówi się więc w studenckim światku, że „życie w akademiku ma swój styl”.

TOMASZ WIELICKI

PRACA MNIE NIE PRZERAŻA

Setki ludzi przewija się codziennie przez Gmach Elektryczny. Stali pracownicy tego budynku przyzwyczaili się już do wzorowych porządków, jakie tu panują, ale przypadkowych przybyszów zaskakują i wprawiają w miłe zdumienie lśniąca posadzki, wypastowane parkiety brak jakichkolwiek „gratów” prze-walających się po korytarzach.

Od dwóch lat administratorem budynku A-5 jest drobna pani o ujmującym uśmiechu — JOANNA JAKUBCZAK, pracownica działu Administracyjno-Gospodarczego.

Już 19 lat pracuje w naszej Uczelni, a praca Jej spotyka się zawsze z dużym uznaniem. Dowodem tego są corocznie przyznawane nagrody J.M. Rektora za wzorowe wypełnianie obowiązków. W ciągu pierwszych lat swojej pracy, p. Jakubczak „zawiadowała” budynkami Starej i Nowej Chemii. Do dzisiaj wszyscy pamiętają wzorowe porządki jakie panowały tam za Jej kadencji. Rozbudowa zaplecza naszej Uczelni, a w szczególności budynków A-4, A-6, A-7, A-8, na zapleczu Gmachu Głównego skłoniły kierownictwo działu Administracyjno-Gospodarczego do zatrudnienia pani Jakubczak na stanowisku administratora budynku A-5: *Musiał tam przyjść*



bardzo doświadczony pracownik, którego nie zalamie ogrom pracy i różnorodnych obowiązków... — komentuje tę sprawę kierownik działu. Tak więc Gmach Elektryczny zyskał sobie dobre go i oddanego gospodarza, a całe zaplecze, człowieka, który nie boi się pracy. Pani Jakubczak czuwa nad 22 osobowym personelem obsługi, dopilnowuje, żeby było czysto, niejednokrotnie sama (nie mogąc doczekać się fachowców) naprawia drobne usterki, dba o otocze-

nie i „oprawę” Gmachu Głównego i Elektrycznego. Praca jest ciężka, bo większość pracowników to osoby niewykwalifikowane, które trzeba uczyć sprzątania i stosowania nowoczesnych środków czystości. Wiele razy p. Jakubczak musiała osobiście pouczać swoje podopieczne jak należy pracować: *Każdego trzeba wychować jak jest i z każdym trzeba inaczej postępować* — mówi p. Jakubczak.

Sama jest matką czworga dzieci, które wychowała samodzielnie bez żadnej pomocy. Jeden z synów pracuje jako elektryk na Politechnice, drugi wstąpił na studia w naszej Uczelni i pracując skończył zaocznie technikum. Najmłodsza latorośl uczestniczyła w Akcji „Wakacje” organizowanej przez dział Administracyjno-Gospodarczy Politechniki, bo p. Jakubczak dużą wagę przywiązuje do wychowania swoich dzieci, a uznaje za szczególnie cenne wychowanie przez pracę. Mimo nawału obowiązków zawodowych i rodzinnych znajduje jeszcze czas na pracę społeczną. Jest wieloletnim członkiem partii, pełni funkcję skarbnika OOP. Przez wiele lat działała w Radzie Oddziałowej Związków Zawodowych, a pod Jej opieką było w tym czasie ponad 200 pracowników fizycznych. Jej hobby to pielęgnowanie rabatów kwiatowych. Może się pochwalić własnoręcznie (również w czynie społecznym) założonymi czterema kwietnikami na terenie naszej Uczelni.

DOR

NAUKA

PO JAPONSKU

Rozmowa z Maksymilianem PAJAKIEM — adiunktem Instytutu Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych po powrocie z rocznego stażu UNESCO w Japonii.



Przyjęcie pożegnalne — w środku profesorowie Hayakawa i Fuse

— W jakiej instytucji odbywał Pan swój roczny staż naukowy?

— Przebywałem na rocznym stażu naukowym w Tokio KOGYO DAIGAKU (Tokijski Instytut Techniki), który jest odpowiednikiem naszych politechnik. Instytut ten, założony pod koniec XIX wieku, uzyskał prawa uniwersyteckie po II wojnie światowej. Uważany jest za najlepszą uczelnię techniczną w Japonii i chlubi się tym, że najwięcej kierowniczych stanowisk w japońskim przemyśle obsadzonych jest jej absolwentami. Od 1964 r. organizowany jest co roku kurs UNESCO z zakresu chemii i inżynierii chemicznej.

— Skoro, jak Pan stwierdza, jest to placówka naukowa będąca odpowiedni-

kiem naszej Politechniki — jak wygląda jej organizacja wewnętrzna?

— Instytut dzieli się na dwa główne kierunki — naukowy i techniczny, i z kolei na wydziały takie jak: chemiczny, inżynierii chemicznej, inżynierii przemysłowej, mechaniczny, elektrotechniki i inne. Wydziały chemiczny i inżynierii chemicznej należą do kierunku naukowego, a np. wydział inżynierii przemysłowej do kierunku technicznego. Poza wydziałami są również organizacyjnie wydzielone laboratoria jak np. laboratorium utylizacji produktów naturalnych, laboratorium techniki jądrowej i inne.

Wydziały dzielą się na laboratoria, które reprezentują poszczególne dyscy-

pliny naukowe, jak: chemia fizyczna, kataliza, procesy rozdzielania itd., przy czym może istnieć większa ilość laboratoriów uprawiających tę samą dyscyplinę naukową. Skład nie stanowiącego samodzielnej jednostki laboratorium jest maksymalnie pięcioosobowy; 1 *full professor*, 2 *associate professors*, 2 asystentów, no i studenci. Bardzo często skład laboratorium jest niepełny i może być np. taka sytuacja — 1 *associate profesor* 1 asystent i studenci. Skład laboratorium podyktowany jest tym, że jednemu profesorowi (*associate*) może podlegać tylko 1 asystent, a 1 profesorowi (*full*) — 2 profesorów (*associate*).

— Czy tworzenie tak osobowo nielicznych zespołów (laboratoriów) naukowych nie powoduje, Pańskim zdaniem, zbytznego rozproszenia potencjału badawczego i tematycznego?

— Ten właśnie fakt początkowo najbardziej mnie zaskoczył zwłaszcza, że jak mi wyjaśniono — w różnych nie konsultujących się ze sobą laboratoriach tej samej uczelni wykonywane są niejednokrotnie identyczne lub bardzo zbliżone tematycznie prace. Być może jednak tego rodzaju struktura odpowiada celom jakie stawia sobie wyższa uczelnia w Japonii.

— A jak wyglądają studia w Japonii?

— Co roku do Instytutu przyjmowanych jest około 800 studentów. Egzaminów wstępnych rozpoczynają się na początku marca, a nowy rok akademicki — 10 kwietnia. O jedno miejsce ubiega się corocznie od 7 do 9 kandydatów. Egzaminów testowych trwają dwa dni i kandydat może uzyskać na takim egzaminie maksymalną liczbę 100 punktów, traktowane jako wskaźnik inteligencji.

Ranga uczelni jest oceniana między innymi na podstawie najmniejszej liczby punktów, która wystarcza do przyjęcia kandydata. I tak np. Uniwersytet Tokijski i Tokijski Instytut Techniki szczytują się tym, że przyjmują studentów z liczbą punktów wyższą niż 65. Studia są dwustopniowe i trwają 6 lat. 4 lata dla osiągnięcia stopnia *bachelor* i 2 lata dla *master*. Absolwenci mają od 24 do 26 lat.

— Jak przebiega w tamtejszych uczelniach obrona prac dyplomowych uzyskanie *absolutorium*?

— Na trzecim roku studiów student wybiera laboratorium o specjalności, która go interesuje i tam jest kształcony systemem seminaryjnym, a na czwartym roku wykonuje pracę dyplomową doświadczalną bądź teoretyczną dla osiągnięcia stopnia *bachelor*. Pracę tę musi zreferować i obronić przed audytorium profesorskim z danego wydziału. Aby przejść na kurs *master*, musi zdać egzamin wstępny i dalej przez rok uczestniczyć w wybranych przez siebie wykładach (najmniejsza liczba wykładów dla otrzymania zaliczenia roku jest określona przez władze uczelni), w seminariach, a w następnym roku wykonuje pracę dla osiągnięcia stopnia *master*, którą musi znów zreferować i obronić. 2 lata w ciągu 6 lat studiów poświęcone są na prace dyplomowe. Kształcenie specjalistyczne prowadzone jest głównie systemem seminaryjnym. Polega ono na tym, że studiuje się najnowsze podręczniki z danej dziedziny. W seminariach uczestniczą wszyscy pracownicy i studenci.

— Wiemy, że system senioralny w Japonii rzutuje na kształtowanie się stosunków międzyludzkich, czy można to również zaobserwować na co dzień w instytucji?

— Obserwacja stosunków międzyludzkich w społeczeństwie o tak skomplikowanej psychice, opartej przecież na zupełnie innych tradycjach kulturalnych i filozoficznych, jest niezmiernie trudna. Bardzo często ich zwyczaj, motywacje były dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Zdałem sobie sprawę, że bez pomocy samych Japończyków niczego się o nich nie dowiem. Jediną drogą do tego celu było nawiązanie przyjaznych stosunków z pracownikami laboratorium, w którym przebywałem. Nie potrafię powiedzieć na ile system senioralny czyni ich życie trudnym, a na ile łagodzi obyczaje. Bardzo często słyszałem słowo *sensei* (profesor), nie tylko w środowisku uniwersyteckim i byłem zdumiony, że w Japonii jest tak dużo profesorów. Okazało się, że nawet urzędnik, który został zatrudniony w danej instytucji wcześniej, jest dla młodszego: *sensei*. To najlepiej obrazuje, jak ten senioralny system jest utrwalony w społeczeństwie. Jego działanie na stosunki międzyludzkie w zasadzie najlepiej zaobserwowałem w tym małym społeczeństwie jakie stanowi laboratorium. Wiążę między profesorami, asystentami i studentami jest bardzo silna, a kontakty są bardzo bezpośrednie, stanowią oni jak gdyby jedną rodzinę, wyjeżdżają razem na wycieczki, uczestniczą w przyjęciach (których w ciągu roku jest bardzo dużo z rozmaitych okazji), przebywają razem w laboratorium przez cały dzień — do późnych godzin wieczornych. Profesorowie bardzo dużo czasu poświęcają pracy ze studentami. Studenci z kolei mają zobowiązania względem swojego profesora do końca życia. Obserwowałem wielu absolwentów odwiedzających profesora; przyjeżdżają czasem z bardzo odległych miejscowości. W okresie Nowego Roku organizują duże przyjęcie, w którym uczestniczą wszyscy pracownicy, studenci i absolwenci, również emerytowani profesorowie. Najstarszy profesor jest ciągle dla wszystkich tą osobą najważniejszą. Wiek decyduje o pozycji np. młodszy asystent nie ma żadnych szans, aby awansować przed starszym.

— *Jakie perspektywy pracy posiada absolwent japońskich uczelni?*

— Ma te same szanse co u nas, najczęściej idzie do przemysłu, instytutu badawczego lub zostaje na kursie doktoranckim o ile zda pomyślnie egzamin wstępny. Jako doktor może zostać zatrudniony na stanowisku asystenta, a nawet w niektórych uczelniach jako *associate professor*. Awans asystenta na *associate professor*, a tego z kolei na *full professor*, po spełnieniu pewnych warunków odbywa się drogą nominacji.

— *Czy podejmowana w uczelniach japońskich tematyka badawcza związana jest z potrzebami przemysłu, czy też są to prace o charakterze podstawowym?*

— Głównym celem japońskich uczelni wyższych jest kształcenie studentów. Tematyka badawcza ma charakter podstawowy, przy czym wykonywana jest przez studentów różnych stopni od *bachelor* do doktora pod kierunkiem profesorów i asystentów. Współpraca z przemysłem w takim sensie jak u nas, nie istnieje. Prace badawcze dla przemysłu wykonywane są w instytutach przemysłowych, które dysponują o wiele większymi środkami finansowymi niż uczelnie. Wiążę z przemysłem, z instytutami przemysłowymi istnieje poprzez system doradztwa naukowego.

— *Jakie jest wyposażenie w aparaturę naukową?*

— Instytut jest skomputeryzowany. Oprócz dużego ośrodka obliczeniowego niektóre wydziały posiadają własne maszyny matematyczne, z których wszyscy w ciągu dnia mogą korzystać. Poza tym jest doskonale wyposażony w aparaturę elektroniczną i optyczną. Wydział chemiczny i inżynierii chemicznej posiadają doskonałą aparaturę do analizy instrumentalnej, jak: NMR, chromatografy, spektroskopy masowe itd. Gorzej natomiast przedstawiają się sprawy z wykonaniem aparatury doświadczalnej, którą najczęściej trzeba zrobić samemu, a wydział inżynierii chemicznej zatrudnia np. tylko 1 mechanika i 1 szklarza. Laborantów i techników nie ma, nawet pomieszczenia laboratoryjne trzeba samemu utrzymywać w czystości. Zaopatrzenie w materiały jest bardzo szybkie i załatwia się przez pośredników handlowych. Należałoby jeszcze powiedzieć, że Instytut posiada doskonałą bibliotekę, że prawie każde laboratorium posiada kserograf.

— *Kto wobec tego finansuje uczelnie?*

— W Japonii są uczelnie państwowe i prywatne. Uczelnie państwowe są całkowicie finansowane przez rząd, uczelnie prywatne natomiast utrzymują się z opłat od studentów, przy czym mogą być również przez rząd dofinansowane.

— *Jaka jest opłata za studia w Japonii?*

— Opłata za studia zależy od uczelni; w uniwersytetach państwowych jest minimalna i wynosi ok. 25.000 jenów rocznie, tj. miesięczne stypendium studenta, natomiast uniwersytety prywatne mają różne stawki, nawet do 100.000 jenów miesięcznie.

— *Jakie są kryteria uzyskania pomocy od państwa?*

— Nie wiem jak ta sprawa przedstawia się w uniwersytetach prywatnych, natomiast w uniwersytetach państwowych student może otrzymać 25.000 jenów miesięcznie stypendium zwrotnego w ciągu 20 lat. Kryterium są zarobki rodziców. Sieroty otrzymują stypendia bezzwrotne. Inną drogą student może otrzymać stypendium przez zawarcie umowy z przedsiębiorstwem. Wynosi ono

około 30.000 jenów miesięcznie i jest bezzwrotne. Student, który nie ma ojca może otrzymać miesięcznie od państwa i z przemysłu łącznie 55.000 jenów, co jest połową przeciętnej pensji w Japonii.

— *Jak się Pan zaaklimatyzował w tych odmiennych warunkach i jak został przyjęty przez tamtejsze środowisko?*

— Środowisko przyjęło mnie z zaskowaniem, ponieważ byłem w tym laboratorium pierwszym stypendystą z Europy, no i z obozu socjalistycznego. Kontakty z Japończykami są dosyć trudne z powodu bariery językowej i kulturowej. Musiałem sam wykazywać dużo inicjatywy, ponieważ są nieśmiali, nie chcą przeszkadzać, więc nie inicjują rozmów, dyskusji, ich znajomość angielskiego jest dosyć słaba, bardzo często, szczególnie na początku musiałem porozumiewać się za pomocą kartki, aby przełamać bariery. W końcu nawiązałem dużo przyjaznych kontaktów, w laboratorium czułem się doskonale i wielu studentów i pracowników było moimi przyjaciółmi i myślę, że nimi pozostaną.

— *Mieszkał Pan w Tokio — jak wygląda to miasto na codzień i jak Pan sobie radził?*

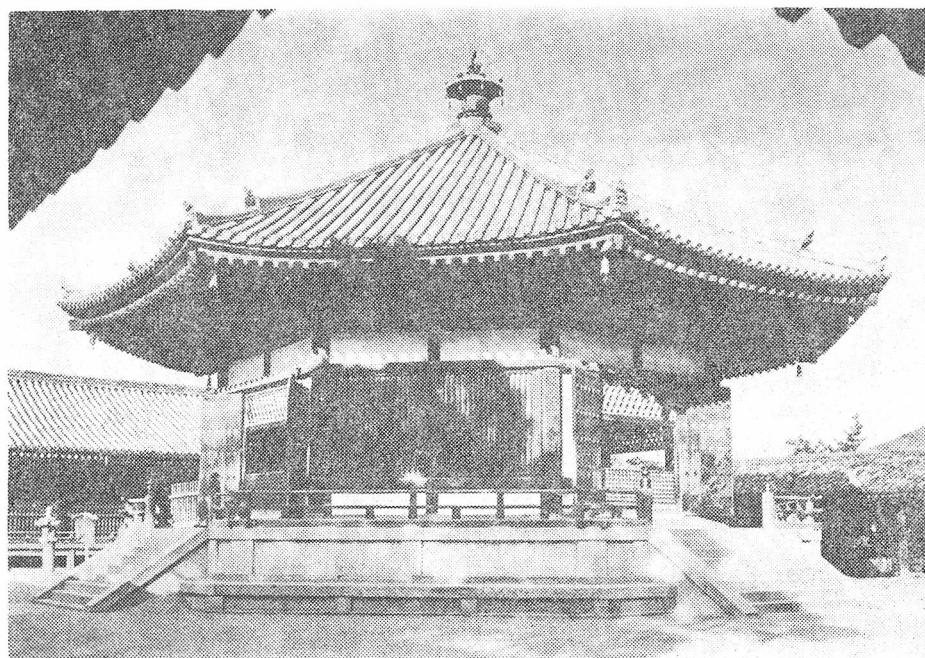
— Miasto jest olbrzymie, bardzo stłoczone, bardzo mało zieleni, jest popielate, w krajobrazie dużo domów, bardzo gęsto zbudowanych, autostrady przecinające miasto w różnych kierunkach i na różnych poziomach ponad powierzchnią ziemi, bardzo dużo samochodów. Tłumy ludzi wychodzących ze stacji kolei lub metra co parę minut. System komunikacyjny jest dosyć skomplikowany, na początku nie ruszałem się nigdzie bez mapy miasta i systemu komunikacyjnego, w końcu do wszystkiego człowiek się przyzwyczaja i po roku czułem się prawie jak Tokijczyk.

— *A co w Japonii zafascynowało Pana najbardziej?*

— Wszystko co zobaczyłem zafascynowało mnie bardzo, ludzie, ich zwyczaje i język i samo Tokio, wyroby przemysłowe, szczególnie elektronika i optyka, ale najbardziej zafascynowała mnie ta stara Japonia, którą można zobaczyć w stanie prawie nienaruszonym w Kioto i Nara.

Rozmawiała: STANISŁAWA SZULC

Hall marzeń w Nara



nasi najlepsi



Zajęcie miejsca wśród laureatów Konkursu Kopernikowskiego było wielkim wydarzeniem w moim życiu i satysfakcją tym większą, że w ubiegłym roku znalazłem się w gronie „wice” laureatów (swoisty doping). Podobny wpływ radości przeżyłem w ostatniej klasie szkoły średniej kiedy zwolniono mnie z egzaminu maturalnego z dwóch przedmiotów: matematyki i języka polskiego — zaczął Jerzy MARCINKIEWICZ, przecierając szkła okularów.

Od trzeciego roku pracuje według indywidualnego programu studiów pod kierunkiem doc. dr inż. Pawła Zworskiego. Ten system nauki nie koliduje z jego szerokimi zainteresowaniami. Pociąga go współczesna literatura amerykańska: Barth, Saroyan, Kazan i Hemingway. Lubi film. Jest sekretarzem Komisji Nauki Rady Uczelnianej SZSP, przedtem piastował funkcję przewodniczącego tejże komisji przy Radzie Instytutowej. Jurek zanotował na swoim koncie poważny sukces „amatorski”: w ubiegłym sezonie reprezentował woj. wrocławskie na Wędkarskich Mistrzostwach Polski.

Bardzo cenię mądrość w najszerszym ujęciu i poczucie humoru, łącznie z wisielcem. Aktualnie jest studentem V roku Wydziału Mechanicznego i przymierza się do konkretnych zadań w Zakładzie Pomp Wirowych. W perspektywie — studia doktoranckie związane z teorią eksploatacji i niezawodności urządzeń transportu hydraulicznego i kontynuowanie pracy badawczej na Politechnice Wrocławskiej.

(ERG)



Marek PALONKA jest studentem V roku Wydziału Elektrycznego w Instytucie Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii. Uczy się dobrze. Obecnie pisze pracę dyplomową z zakresu Kriotechniki. Po studiach chciałby pracować w zakładzie

badawczym Wysokich Temperatur i kontynuować naukę w studium podyplomowym. Przez cały okres studiów był szefem grupy działania, w ubiegłej kadencji pełnił funkcję przewodniczącego RI SZSP. Jest członkiem Urzelnianego Komitetu Rewizyjnego odpowiedzialnym za sprawy klubów. Od I roku należy do partii, a obecnie wchodzi w skład egzekutywy OOP I-7. Zainteresowania? Muzyka poważna, „stary, dobry jazz” (jaki on tam dobry) oraz... archeologia. Dawniej grywał na fortepianie, obecnie na tarce, mógłby grać na organach Hammonda B-3 and Leslie.

A.W.



Henryk KUDELA jest studentem V roku Instytutu Cybernetyki Technicznej. Bardzo dobre wyniki w nauce osiąga od samego początku studiów. Jego średnia ocena w semestrze zawiera się między 4,6 a 4,8. „Nauka bez wiary jest ślepa” — tym zdaniem Heniek trafnie ujął swój stosunek do studiów.

Przejście na indywidualny program studiów ocenia jako efekt swoich starań o doskonalenie form nauki. Jest studentem nie tylko Politechniki, ale i Wydziału Matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Matematyka umożliwia lepsze poznanie cybernetyki, przedmiotu który go interesuje. Jako przewodniczący Koła Cybernetyków, czynnie udziela się w życiu naukowym Politechniki, a ponieważ nie lubi szablono- i stagnacji, często wprowadza in-

nowacje w działalności Koła. Pobyt na praktyce we Włoszech pozwolił Heńkowi pogłębić swoją znajomość języka angielskiego i poszerzyć bibliotekę o najnowsze wydawnictwa naukowe. Pasjonuje się filmem oraz poezją, dużo czyta i słucha muzyki, w domu posiada spory księgozbiór dzieł literatury pięknej i płytotece. Często projektuje i sam buduje różne skomplikowane urządzenia elektroniczne, czynnie uprawia koszykówkę.

(UL)



Typowy obrazek w Zakładzie Zaopatrzenia w Wodę i Ustawiania Ścieków Instytutu Inżynierii Ochrony Środowiska: trójka młodych ludzi żywo dyskutuje nad projektem rozbudowy i modernizacji sieci kanalizacyjnej któregoś z dolnośląskich miast. Wśród nich,

świeżo upieczony, mgr Jerzy WARTALSKI. Jakże były dobre początki? Chyba trudne, mroźna praca nad opanowaniem podstawowych problemów i stopniowe, miłe efekty. Obyło się bez błyskotliwych „sukcesików”, lecz wyniki szły w górę. Dużą satysfakcję sprawiło mu zwycięstwo w ubiegłorocznym Konkursie Kopernikowskim, lecz wynik nie był celem samym w sobie. Pragmatyzm wiedzy owocowało w pracy zawodowej. Jerzego trzeba podziwiać za konsekwencję i siłę charakteru, bo praktycznie niewiele czasu, pozeranego przez dojazdy z odległego Jelcza, pozostawało na naukę. Potrafił jednak kilkakrotnie uzyskać nagrody rektorskie. Obecnie z pasją zgłębia języki obce. Pociągały go także układy elektroniczne, ale zdradził je na korzyść pracy w JJOS-ie. Pracę w Instytucie łączy ze studiami doktoranckimi. Mimo, iż jest to kwestia około sześciu lat, już widzi w ogólnych zarysach „Optymalizację sieci kanalizacyjnych” — swoją pracę doktorską.

(erg)

SZYBCIEJ LEPIEJ TANIEJ

Szwalnica na 3-cim biegu — H. Sikorska, H. Przydatok, D. Wasilewska

Fot. R. GOLCZYK



Od 1 października działa przy dziale Administracyjno-Gospodarczym Politechniki Wrocławskiej świeżo uruchomiony zakład szwalniczy, który, mieści się w jednym z pomieszczeń budynku, popularnie zwanego „Baczówką”. Wykonuje on różnego rodzaju usługi krawieckie dla instytutów i innych komórek administracyjnych Uczelni. W tej chwili szyje głównie zasłony na okna, nakrycia na stoły konferencyjne, flagi, ale w przyszłości planowane jest poszerzenie usług. Wykonywać się będzie m.in. nietypowe fartuchy dla pań z obsługi. Decyzja utworzenia tego zakładu podyktowana była bardzo pilnymi potrzebami Uczelni. Jak dotąd, wszystkie

usługi szwalnicze powierzane zakładom na mieście były bardzo kosztowne i trwały zbyt długo. Niejednokrotnie także, ze względu na nietypowość powierzanych prac, trudno było w ogóle znaleźć wykonawcę. Własna szwalnia stwarza gwarancję, że usługi wykonywane będą teraz szybciej, solidniej, oszczędniej, zwłaszcza, że zatrudniono w niej wysokokwalifikowany personel.

Grupa szwalnicza jest tylko jedną z komórek, która działa w ramach Sekcji Usług powstałej na Politechnice. W tej chwili czynny jest już punkt naprawy sprzętu zmechanizowanego (odkurzacze, froterki), a w najbliższym czasie planuje się otwarcie punktu naprawy sprzętu elektronicznego (telewizory, magnetofony, adaptory). Sekcja zadba też o lepsze zaopatrzenie kiosków Ruchu znajdujących się na terenie Uczelni, a także rozpocznie starania o utworzenie nowego kiosku Ruchu przy ulicy Pomorskiej, w sąsiedztwie bloków zamieszkałych przez pracowników Politechniki.

(DOR)



Fot. W. ROPIECKI

D o tradycji studenckiej już należy, że każda Uczelnia, każdy Wydział obchodzi swoje Dni. Mamy więc Dni Budowlanica, Elektronika, Kanalarza. Bierząc do ręki program obchodów napotykamy niemal zawsze na utarte stereotypy: rajd, turniej: asystenci — studenci, wieczór przy świecach, dzień sportu, czy punkt kulminacyjny, jakim jest zwykle Wielki Bal. Nic więc dziwnego, że przeglądając kolejny program, tym razem — Dni Kanalarza, czułem znużenie. Program jak wszystkie inne, z tym że graficznie bardziej kolorowy. Trzeba będzie kogoś wysłać, niech się ponudzi — pomyślałem, ale jakoś tak wyszło, że sam trafiłem na jedną z imprez.

Piątek, godz. 20 Klub „WIKLINY”

Gorączkowa atmosfera przygotowań. Znam to, więc się nie dziwię, że minęła już pora rozpoczęcia. Wysyłam którąś z kolei szklaneczkę „pepsi”. Za-

raz się zacznie — pocieszam sam siebie — posiedzę trochę i pójdę. Wreszcie z podniszczonych solidnie głośników padają słowa powitania. „Normalka”, teraz jeden po drugim przejdą przez „scenę” kolejni wykonawcy — amatorzy i swymi popisami zanudzą zgromadzonych. Nie, absolutnie nie jestem pesymistą, to tylko obraz jaki utrzymał się w mojej wyobraźni po wielu godzinach spędzonych w studenckich klubach, Wrocławia Warszawy, czy nawet Krakowa. Również proszę mnie nie posądzać o skrajnie krytyczne sądy o kulturalnej działalności studentów... ot, po prostu miałem widocznie pecha przy doborze imprez.

Rozpoczęła Iwona, studentka II roku. Głos jej drżał, gdy śpiewała balladę Okudźawy. Po niej zgromadzeni zostali wprowadzeni w krąg poezji i wtedy... Chyba właśnie wtedy w niskim pomieszczeniu Wiklin wyczułem atmosferę ciepłą, atmosferę wprowadzającą słuchacza w życie osób „produkujących się” przed mikrofonem. Na początku skrepowani, teraz wtórujący wykonawcom słuchacze poczęli tworzyć dodatkową scenerię. Zniknęła bariera: wykonawca — odbiorca, klub zaczął tętnić jednym życiem. To nic, że po trzech godzinach popsuł się wzmacniacz, setka młodych ludzi dostatecznie nagłośniła pomieszczenie. Zabawa pochłonęła wszystkich, nawet Dziekan wtórował wykonawcom. Z żalem i pewną dozą rezerwy opuszczałem Wikliny, czy aby

to nie był jednorazowy wyczyn? Postanowiłem skorzystać z zaproszenia na Bal Kanalarza połączony z otrzęsinami. I znów miła, swojska atmosfera. Zrezygnowano z długich i nużących ceremonii otrzęsinowych na rzecz przeprowadzonej w dużym tempie przysięgi beano i ogolenia ich ze „szkolniczych nawyków”. Teraz do głosu doszli ci, którzy brali udział w piątkowej imprezie. Dyktowali tempo, wprowadzali ten sam niezapomniany nastrój. Królował Zdzych, oczywiście ze swą towarzyszką... gitarą. Śpiewał piosenki z dawnych lat a „przeplatanką” służył zespół *Skamander* — klimat jakby żywcem przeniesiony z piątku. Duża, niezbyt przytulna sala została wypełniona chóralnym śpiewem, wspólną zabawą i studenckim temperamentem. Szybko minął wieczór i część nocy. Dla licznie zgromadzonego I roku była to chyba najlepsza wizytówka Wydziału. Wydawało by się, że impreza, jak każda studencka, ale czy rzeczywiście? Zazwyczaj mamy do czynienia z podziałem na wykonawcę i odbiorcę. Podział ten jest zauważalny w każdym momencie imprezy. Gawiedź przychodzi **posłuchać**, zabawić się kosztem wykonawców, bo tak łatwiej. Po co wysilać się na jakąś współpracę?

Czym tłumaczyć tę konsumpcyjną postawę, bierność przeciętnego studenta odwiedzającego przybytki studenckiej muzy? Przecież student zawsze lubił się bawić. A może winą leży po drugiej stronie, może winni są wykonawcy? Rozmawiałem z wieloma studentami. Widzą, że jest źle. Więcej, sami krytykują bierność widowni, lecz przyznają, że sami nastawiają się tylko na odbiór, nic z siebie nie dając. Czym więc tłumaczyć sukces (tak sukces) Kanalarza? Baliśmy się, że będą „nici” — mówi Janusz Danielewicz przew. RI-13 IS — ale jednak udało się, wróciliśmy na nasze stare „kanały”. Dlaczego? — To chyba dzięki doborowi materiałów i tempu jakie narzucili prowadzący i jakie zaakceptowała publiczność. Student lubi szybki bieg wypadków i niepowtarzalność. Nasi wykonawcy chyba to osiągnęli. A poza tym — nieporównywalne zaangażowanie kanalarzkiej braci, która pozostawiła w stołówce konsumpcyjną postawę zadecydowało o powodzeniu, o dobrej zabawie.

Wypada jeszcze powiedzieć, że tegoroczne Dni Kanalarza odbyły się nietypowo, bo od 19 do 26 października. Rozpoczął je *VIII Mikrocziapik*. Dniom patronował Dziekan Wydziału Inżynierii Sanitarnej, a głowy za całość przedstawili Jerzy Ptak (I-15) oraz Janusz Danielewicz (I-13).

Zdjęcia: M. SZEWCZYK



MAREK SZEWCZYK

elektro- niczne otrząsiny

W sobotę 26 X 74 r. został odprawiony doroczny rytuał wprowadzenia beanów z Wydziału Elektroniki w poczet braci zakowskiej. „Otrząsiny” miały miejsce w sali DDK przy placu Got-twalda. Wśród zaproszonych gości obecny był sam dziekan Wydziału Elek-troniki prof. J. Bromirski, a także pro-dziekani: doc. K. Morawski i dr T. Wy-socki. Punktualnie o godz. 20 wszyscy



a tak było u chemików



obecni zostali zaproszeni do uroczyste-go poloneza, który stanowił oficjalne rozpoczęcie imprezy. Kilka minut póź-niej bawiącą się już w innych rytmach salę okrzył oświetlony blaskiem świec korowód otrząsinowy wiodący pojma-nych i związanych beanów. Na scenie rozpoczęło się „znęcanie” i badanie, czy beani mogą stać się studentami. Punktem kulminacyjnym było pasowanie be-anów na studentów za pomocą walka, dokonane przez dziekana prof. J. Bro-mirskiego. Po tej ceremonii świeżo u-pieczeni studenci zostali oddani braci studenckiej, aby ta się nimi zaopieko-wała. Potem prawie do rana bawiono się przy dźwiękach świetnie grających *Samych Swoich*, dyskoteki, a także gru-py muzycznej z klubu *Simplex*. W cza-sie przerw wysłuchano paru piosenek rajdowych, można było obejrzeć filmy animowane lub wziąć udział w konkur-sach organizowanych przez prowadzą-cych imprezę konferansjerów. Wyrazy uznania dla organizatorów.

Opr. M. M.

Zdjęcia: G. GAŹDZIAK



Zdjęcia: R. JANKOWSKI



informuje

Bieżące zarządzenia i wytyczne

W związku z licznymi pytaniami dotyczącymi regulaminu studiów w Politechnice Wrocławskiej — Rektor informuje, że regulamin ten zostaje utrzymany w mocy aż do odwołania.

Uroczystości

Dnia 16 XI br. o godz. 12.00 w auli Politechniki, odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa prof. Zygmunta Szparkowskiemu. Obszerniejszą informację z uroczystości prześlemy naszym Czytelnikom w następnym numerze „Sigmy”.

Sprawy organizacyjne

Dr Adolf ŁUCZYCKI z I-7 pełni od 1 X 74 r. funkcję redaktora naczelnego wydawnictw naukowych i dydaktycznych w Instytucie Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii.

Mgr Jan AZMAN-ZIELIŃSKI z dniem 10 X 74 r. został powołany na stanowisko zastępcy kierownika Studium Wychowania Fizycznego d/s sportu akademickiego.

Mgr Lesław KUCHARSKI od dnia 1 X br. powołany został na stanowisko zastępcy kierownika Studium Wychowania Fizycznego d/s rozbudowy bazy.

Mgr Wincenty SLIWA od dnia 10 X 74 r. objął stanowisko zastępcy kierownika Studium Wychowania Fizycznego d/s dydaktycznych.

Od dnia 1 XI 74 r. dr Edward WANAT został p.o. pełnomocnika dyrektora d/s studenckich w Instytucie Telekomunikacji i Akustyki.

Sprawy osobowe

Od dnia 1 X 74 r. funkcję redaktora naczelnego wydawnictw naukowych i dydaktycznych w Instytucie Historii Architektury, Sztuki i Techniki objęła dr Wanda KONOWICZ.

Doc. JERZY ROZPĘDOWSKI z I-12 od dnia 1 X 74 r. pełni funkcję kierownika Zakładu Historii Architektury Nowożytniej.

Dr Jadwiga ŚLAWIŃSKA z I-12 objęła z dniem 1 X 74 r. stanowisko kierownika Zakładu Architektury Współczesnej.

Dr Stanisław BALICKI z I-22 od 1 X 74 r. pełni funkcję zastępcy dyrektora Pionu d/s Studenckich.

Współpraca z zagranicą

W związku z obchodzonymi „Dniami Nauki Polskiej” w Kijowie czynna była w dniach 23-30 IX 74 r. wystawa polskiej książki naukowej, na której eksponowano publikacje naukowe trzech polskich uczelni współpracujących z uczelniami Kijowa. W imprezie tej Politechnika Wrocławska prezentowała wystawę wydawnictw pracowników naukowych naszej Uczelni. Eksponowano 170 publikacji wydanych w ostatnich latach, zgrupowanych w 9-ciu działach.

W dniach 20 X–3 XI br. przebywała na Węgrzech delegacja naszej Uczelni w składzie: rektor T. PORĘBSKI, prorektorzy — W. KASPRZAK, B. KĘDZIA L. KRZYŻANOWSKI oraz I. sekr. KU PZPR Alfred DZIENDZIEL i przew. RZ ZNP Henryk ZEBROWSKI. Celem wizyty było sfinalizowanie umów o bezpośredniej współpracy Politechniki Wrocławskiej z Wyższą Szkołą Inżynierską w Pecs i z Politechniką w Budapeszcie.

Konferencje i seminaria

W czwartym dniu (13 IX) obrad konferencji „Selektywne dystrybucja informacji w krajowym systemie INTE” odbył się seans wyszukiwania informacji z bazy danych syste-

mu INSPEC zlokalizowanej w Kalifornii. Uczestnicy konferencji mogli obserwować konwersacje z systemem przy pomocy urządzenia końcowego, zainstalowanego w Politechnice oraz oglądać wydruki wy-

prowadzone przez ten system.

Wystawy

W dniach od 21-26 października 1974 r. czynna była na antresoli Gmachu Głównego wystawa pt. „Udział pracowników Politechniki w działaniach II wojny światowej” zorganizowana przez Klub Oficerów Rezerwy i Koło ZBOWiD Politechniki Wrocławskiej z okazji 31 rocznicy bitwy pod Lenino. Na wystawie zgromadzono zbiory prywatne m.in. ppor. rez. prof. Mieczysława Bukalę, kpt. w st. sp. prof. Jana Różyckiego, chorąż. Ludwika Polańskiego, plut. pchor. Andrzeja Szaynoka oraz eksponaty wypożyczone z Muzeum Historycznego m. Wrocławia. Znalazła się wśród nich broń, hełmy, mundury, szable oficerskie, siodło, mapy — z kampanii wrześniowej, walk o Wał Pomorski i z marszu na Kołobrzeg oraz broń podstawa partyzantów. Na wystawie znalazło się miejsce na trofea sportowe AZS-u. Czynne było także stoisko z książkami o tematyce wojskowej (sprzedano około 170 egzemplarzy). Wystawę obejrzało 2.500 osób, w tym goście z Ameryki, Anglii, NRD oraz studenci z Afryki i Wietnamu.

mar.

We wrześniu i październiku odbyły się następujące wystawy organizowane przez Sekcję Wystaw Pionu Naukowo-Technicznego, w gmachu głównym Szkoły: wydawnictwa Centrum Informacji Naukowo-Technicznej i Ekonomicznej; nowości wydawnicze Politechniki Wrocławskiej, Dział Wydawnictw; prace dyplomowe studentów Wydziału Budownictwa Lądowego; kompozycja kwiatów jesiennych i szkła artystycznego, Pion Socjalny; militaria — Studium Wojskowe.

Inne

4 listopada odbyło się spotkanie Ministra Sprawiedliwości prof. dr Włodzimierza Berutowicza z pracownikami naukowymi i aktywnym partyjnym Politechniki. Spotkaniu przewodniczył prof. dr Tadeusz Porębski. Podczas spotkania minister wygłosił wykład: „Rola prawa w sterowaniu rozwojem społeczeństwa socjalistycznego”. W dyskusji poruszono tematy związane z możliwościami zastosowania informatyki w sądownictwie oraz zagadnienia z sądowej kontroli administracji. Po spotkaniu min. Włodzimierz Berutowicz zwiedził Centrum Obliczeniowe oraz laboratoria naukowe i dydaktyczne Instytutu Energetyki.

Na wniosek Zarządu Wojewódzkiego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich we Wrocławiu przyznaje mieszkańcom i samorządowi akademickiemu domu studenckiego Politechniki Wrocławskiej — „Nad Fosą”

Puchar Przechodni za zdobycie w roku akademickim 1973/74 I miejsca w środowiskowym konkursie domów studenckich w zakresie prac i czynów społecznych studentów na rzecz miasta, w ramach V Ogólnopolskiego Konkursu na Najlepsze Samorządy Domów Studenckich.

Przekazując dla mieszkańców, aktywnych studenckich i kierownictwa Waszego domu — serdeczne życzenia sukcesów i satysfakcji w wypełnianiu studenckich obowiązków oraz życzenia dalszych osiągnięć w zaangażowanej pracy na rzecz udziału środowiska studenckiego w rozwoju Wrocławia.

Prezydent Miasta Wrocławia
dr Marian Czuliński

Wrocław dnia 28 maja 1974 r.

W dniu 7 listopada br. rozegrano doroczny drużynowy turniej brydżowy o puchar Prezesa Rady Zakładowej ZNP Politechniki Wrocławskiej. W turnieju wzięło udział 10 czteroosobowych zespołów reprezentujących Instytuty i niektóre jednostki organizacyjne Szkoły. Z zaproszonych zewnętrznych placówek naukowych udział wzięła drużyna Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN. Po zaciętych zmaganiach pierwsze miejsce wywalczyła drużyna Zespołu Domów Studenckich w składzie: S. KOSIKOWSKI — P. WOJSIAT; J. DROZDOWSKI — J. MODRZEJEWSKI. Sukces drużyny ZDS jest z pewnością zasłużony. Świadczy o tym wygranie zawodów po raz drugi z rzędu.

(—)

Notki informacyjne, które nie są sygnowane pochodzą z biuletynu „Informacja Bieżąca” Politechniki Wrocław.

Komisja Narciarska Oddziału PTTK organizuje w sezonie zimowym kilka kursów narciarskich: w okresie Świąt Bożego Narodzenia na Klimczoku oraz w Sokolcu, a w przerwie międzysemestralnej ponownie na Klimczoku. Bliższe informacje zostaną podane do wiadomości zainteresowanych na tablicach ogłoszeniowych PTTK.

M.K.

„Mufłonik”

Znaleźliśmy się na szlaku (czarnym — brrr), który bezlitośnie wylewał z potem nasz brzustowy tryb życia, a cel był tuż, tuż... To COŚ przycupnęło obok przejścia granicznego i nakryło się pokazną czapą śniegową. Prezentowało się wcale nieźle. Okazały sztyd: schronisko „MUFLONIK” na przełęczy Okraj — podziałał jak magnes, któremu i myśmy się nie oparli.

Alicja i Mieczysław Ramiszewscy są gospodarzami schroniska od kilku lat i w tym, dość krótkim okresie potrafiliby stworzyć coś bardzo oryginalnego. Przybysze bywają zwykle zaskoczeni miłą i prawie rodzinną atmosferą; tym subklimatem, który umożliwia rzeczowistą wypocznę. Nie dziwi zatem, że turyści chętnie tu powracają. „MUFLONIK” zdobywa skutecznie stałych bywalców, jednak nie wszystkim chętnym udaje się otrzymać jedno z trzynastu miejsc noclegowych. W sezonie letnim sytuację ratuje baza namiotowa, a planuje się — wcale nie perspektywicznie — budowę bawółki z cennikiem dostosowanym do niezbyt zasobnej młodzieżowej kieszeni. Na uwagę zasługuje bardzo interesująca inicjatywa gospodarzy, którzy przy wejściu ustawili gablotę z okazami roślin chronionych, występujących na tych terenach. A ileż wymowy zawiera schroniskowy znak zakazu: „nie trąbić” (zdecydowanie przekreślona butelka czystej). Pękata księga pamiątkowa schroniska pełna jest pochlebnych opinii i zachwytów wyrażanych w języku polskim, francuskim, angielskim, niemieckim i wielu innych. Zacytuje może jedną z tych bardzo bezpośrednich — opinię dziesięcioletniego Krzyska: „...Na Okraju jest jak w raju”.

(erg)

Legnicka „akcja b...”

Dnia 7-12 XI br. odbyła się w Filii Politechniki Wrocławskiej w Legnicy, zainicjowana przez doc. dr inż. Czesława ZYMAL-SKIEGO studencka „akcja buraków”. Akcja rozpoczęta została przez studentów II roku Wydz. Elektrycznego od uporządkowania zaniedbanego terenu, nadającego się np. na boisko sportowe.

Do „akcji b...” włączono dwie brygady studenckie. Jedną do Snowidza, a drugą do Targoszyna (koło Jawora). Studentom zapewniono kwatery, gorące posiłki (za minimalną odpłatnością), kompletne ubrania robocze. Prace trwały od godz. 7.30 do godz. 15.00, z przerwą na posiłek, który dowożono brygadam o godz. 12.00. Należy jeszcze dodać, że brygada pracująca w Snowidzu pomagała również przy zbiorze ogórków, a studenci w Targoszynie pomagali przy obrywaniu liści z drzewek owocowych, przeznaczonych na sadzonki.



Fot. J. STRZAŁKOWSKI

Akcja buraków była akcją udaną, pomogła studentom odpocząć od zajęć na Uczelni, dostarczyła pieniędzy, za które mogą mile i pożytecznie spędzić czas. Trzeba dodać, że nie była to jedyna tego typu akcja. Studenci IV roku Wydziału Budownictwa Lądowego i Wydziału Elektrycznego pomagali w dniu 8 XI 74 r. przy zbiorze ziemniaków w okolicach Jawora.

L.D.

Z działalności KOR przy Politechnice Wrocławskiej

Zgodnie z kalendarzem imprez na rok 1974, trzydziestu strzelców z KOR stanęło na strzelnicy przy ul. Rybnickiej do zawodów strzeleckich w sześciu konkurencjach. Były to: kbks na 50 m, strzelanie z broni myśliwskiej do bażanta, dzika, zająca, skeet i trap. Najwszechstronniejszymi strzelcami okazali się inż. Stanisław Rudnicki, doc. Bogdan Kędzia, inż. Zbigniew Rysiec, inż. Antoni Gołębiowski, inż. Andrzej Fedorowski. Pierwsze miejsce w konkurencji kbks wynikiem 95 pktów zajął A. Basara, w konkurencji trap (6 pkt) najlepszym był doc. Bogusław Bałaziński, a konkurencję bażant 8 pktami wygrał Zbigniew Rysiec. Najmłodszym strzelcem był dziesięcioletni syn inż. Skowrona — Marek, który z kbks wystrzelał 85 pkt. Na zakończenie zawodów, wszystkich strzelców i ich rodziny poczęstowano wojskową grochówką.

L. PU.

Pokłosie akcji „Wakacje za własne zarobione pieniądze”

W dniach 16-18 XI. br. młodzież z II Liceum Ogólnokształcącego w ramach godzin wychowania obywatelskiego wykonała szereg bardzo pożytecznych prac społecznych na terenie Politechniki Wrocławskiej. W pracy wzięło udział 99 osób z klas: Ic, IIc, IVc. Młodzież uporządkowała liście z całego terenu Stadionu AZS i uporządkowała bieżnię, odwiezła także drewnianą boazerię w auli Gmachu Głównego. Przed rozpoczęciem prac Młodzież zapoznała się ze strukturą i działalnością Uczelni, otrzymała informacje o prawach i obowiązkach studenta, organizacji studenckiego roku nauki, o trybie egzaminów wstępnych. Zwiedziła także sale wykładowe Gmachu Głównego oraz wysłuchała specjalnie przygotowanego wykładu z fizyki.

T.P.

Sport

Główna Rada Koordynacyjna SZS-AZS uprzejmie informuje, że w dniach 1-3 listopada 1974 r. w Brukseli odbyły się IV Akademickie Mistrzostwa Świata w judo. Obok reprezentacji 25 innych państw, w imprezie tej wzięła również udział reprezentacja polskich sportowców — studentów. Start naszej reprezentacji zakończył się dużym sukcesem w postaci zajęcia trzeciego miejsca w punktacji medalowej.

Do wymienionego sukcesu w znacznym stopniu przyczynił się student IV roku Wydziału Elektroniki Politechniki Wrocławskiej — Kol. Zbigniew BIELAWSKI, który startując w kategorii półciężkiej zajął III miejsce zdobywając brązowy medal Akademickich Mistrzostw Świata. Jednocześnie startujący w kategorii ciężkiej student III roku Wydziału Budownictwa Lądowego — Kol. Ryszard URBANOWICZ zajął V miejsce.

(—)

*

Niemal tradycją stała się już na Politechnice Wrocławskiej Liga Instytutów. Rozgrywkami ligowymi zainteresowani są wszyscy studenci, bowiem każdy instytut musi zaprezentować w sposób humorystyczny własne osiągnięcia, dorobek grup twórczych. Duże pole do popisu mają również plastycy. Reklama, dowcipne plakaty są wysoko punktowane. Liczy się także doping, kulturalne reakcje publiczności i atmosfera sali. Komisja Kultury Rady Uczelnianej SZSP ustaliła następujące tematy konkursowe: karykatura i satyra, sławne motywy klasyczne, orkiestra — instrumenty nietypowe, charakterystyka poważnie wyglądającej osoby, przerobienie znanego tekstu literackiego, zorganizowanie 10-minutowego „dobranoc dla dorosłych”, konkurs typu „coś z niczego” — rzeźba surrealistyczna z przyrządów czy materiałów charakteryzujących dany instytut, konkurs na najlepszą mowę, SALON — „Jesteśmy na Dzikim Zachodzie”, wynalazek na pomysł, projekt na najmniejpotrzebniejszą, najbrzydszą, najgorszą rzecz jaką znamy. W zeszłym roku Liga Instytutów zakończyła się wielkimi zmaganiem Dawida i Goliata. W tym roku zakończenie imprezy jest jeszcze tajemnicą.

MS i JK.

*

26 i 27 października Legnica była miejscem zmagania żeglarzy uczestniczących w kolejnych regatach o Puchar Dyrektora Filii Politechniki Wrocławskiej w Legnicy. W regatach, które rozegrano na j. Kunickim naj-

licniejsza była klasa „omega”, startowało w niej najwięcej osad. Puchar zdobyła załoga reprezentująca V rok Wydziału Elektrycznego ze sternikiem Tadeuszem Cichym.

Klub studencki *Pod Wikliną* zawiadamia wszystkich zainteresowanych, że organizowana jest Wolna Estrada Studencka. Do wzięcia udziału zapraszamy wszystkich studentów parających się amatorsko piosenką. Forma dowolna: może to być piosenka zaangażowana, ballada, piosenka rajdowa czy kabaretowa. Swój zgłoszenia prosimy kierować do kierownictwa Klubu.

(czes)

Fosik działa już pełną parą. Kolejne soboty i niedziele to oczywiście dyskoteki, natomiast środy są dniami spotkań ze współczesną muzyką, a „czwartki przy świecach” to wieczory, w których udział biorą przedstawiciele młodej generacji poetów wrocławskich.

(ese)

Plany Komisji Zagranicznej przewidują powołanie w bież. roku Pełnomocników Komisji Zagranicznej przy każdej RI. Nowy system ułatwi szybki dopływ informacji do studentów oraz umożliwi sprawniejsze przeprowadzanie kwalifikacji na wyjazdy zagraniczne.

Na praktyki IASTE przyjechali do Wrocławia Szwedzi, Włosi, Francuzi, Niemcy, Austriacy i jeden Hiszpan. Rada Uczelniana zorganizowała dla nich spotkania ze studentami polskimi, rozrywki kulturalnej i ucieszy w dyżurujących klubach studenckich.

W nowym roku akademickim wspaniale wystartowali górnicy. Jako pierwsi otrzasali swych beanów, a od 25 do 27 X. w Karlowie byli gospodarzami I Międzynarodowego seminarium SNS-u. W tym samym czasie niemal cały Wydział wyruszył w Kotlinę Kłodzką na 13 Jesienny Rajd Górniczy.

(joko)

27 października odbyło się Plenum ZW SZSP, które zatwierdziło zmiany w składzie ZW. Na stanowisko przewodniczącego ZW powołany został dotychczasowy wiceprzewodniczący ZW i przew. Komisji Ekonomicznej Kazimierz KOWAL. Dotychczasowy przewodniczący odszedł do pracy partyjnej. Do pracy zawodowej odszedł sekretarz ZW J. Dudziak. Jego funkcję objął A. KAKOL. Po zatwierdzeniu zmian dyskutowano na temat form pracy ideowo-wychowawczej w środowisku młodzieży wrocławskiej.

Ciekawą inicjatywę podjęło kolegium redakcyjne RS „Fosa 64” organizując comiesięczną „Trybunę Studencką”. Na pytania stawiane przez studentów (DS „Nad Fosą” zamieszkują studenci pierwszego roku) odpowiadali: kierownik DS-u, przewodniczący Rady Mieszkańców oraz przedstawiciele RU SZSP.

Komisja Nauki RU SZSP gościła ostatnio grupę uczniów z Liceum Ogólnokształcącego z Lubania Śląskiego. Goście zwiedzili Instytut Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych oraz uczestniczyli w pokazowym wykładzie z fizyki. Następnie odbyło się spotkanie przyszłych studentów z aktywnym SZSP.

Studentów będących na urlopach zdrowotnych zawiadamiamy, że są wolne miejsca na wczasy profilaktyczne, które odbędą się od 3 XII do 30 XII br. w Maciejowcu koło Jeleniej Góry. Chętni proszeni są o zgłoszenie się do Komisji Ekonomicznej RU lub do pok. 202 w przychodni przy Pl. Katedralnym.

Zakończyły się trwające od 7 do 12 października Dni Budowlania. Przez trzy dni mogliśmy oglądać wystawę prac dyplomowych, na której zaprezentowano najlepsze prace studentów Budownictwa z kilku ostatnich lat. Odbyło się także spotkanie z naczelnym architektem m. Wrocławia doktorem inż. A. Tarczyńskim oraz dyr. Wydziału Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska mgr inż. Leszkiem Żakiem, które zgromadziło osoby zainteresowane perspektywami rozwoju urbanistycznego Wrocławia. Na spotkaniu wyróżniającym się studentom i naukowcom wręczono nagrody.

(APIS)

Kartka z historii wakacyjnej współpracy P.Wr. i Uniwersytetu.

RU otrzymała w tym roku pod dostatkiem znaczków do legitymacji MZS-u, zabrakło niestety druków samych legitymacji. Po druki nasi studenci udawali się na Uniwersytet który otrzymał większą ich ilość.

(APIS)

Dnia 26 X 74 r. w Klubie *Energetyk* rozstrzygnęły się losy Międzyklubowego Turnieju Tańca Towarzyskiego w klasach „D” i „C”. W klasie „D” pierwsze trzy miejsca zajęły pary studenckie Klubu Tanecznego:

- I — Zdzisław Frączek i Barbara Kamińska
 - II — Leszek Lewandowski i Ewa Lewandowska
 - III — Krzysztof Doliński i Jolanta Kryś
- W klasie „C” na III miejscu uplasowała się para Zbigniew Zasada i Barbara Pisarska, a na IV Stanisław Zygodło i Bożena Minowska.

(joko)

Prof. mgr inż. Wincenty Czechowicz (1900-1974)



Okres pracy ze studentami i wśród studentów Wydziału Górniczego to zaledwie epizod w długim i pracowitym życiu Profesora. Był to ostatni akord tego życia, akord współbrzmiający z Jego życiową pasją: górnictwem, pracą dydaktyczną i działalnością społeczną.

Lista prac, których się podejmował i z których zawsze wiążywał się wzorowo jest bardzo długa. Nie sposób w kilkunastu zdaniach zamknąć prawie półwieczny okres działalności zawodowej człowieka o tej rozpiętości zainteresowań jakimi dysponował prof. Wincenty CZECHOWICZ.

Rozpoczęte w 1920 roku we Lwowie studia, kończy w 1926 r. na Wydziale Górniczym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Po uzyskaniu tytułu magistra inżyniera rozpoczyna pracę w zawodzie górniczym, którą bez przerwy kontynuuje do 1946 roku. W swojej karierze zawodowej piastował szereg stanowisk, z których wszystkie wynikały z aktualnych potrzeb polskiego górnictwa. Równolegle realizuje prof. Czechowicz działalność naukową i dydaktyczną. Rozpoczyna jako wykładowca w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, a w latach 1950-52 w Politechnice Śląskiej w Gliwicach, gdzie jest organizatorem i pełniącym obowiązki kierownika Katedry Górnictwa. W 1965 roku, po otrzymaniu nominacji na profesora rozpoczyna pracę w Politechnice Wrocławskiej, poświęcając się całkowicie organizowaniu Wydziału Górniczego i Instytutu Górnictwa, którego zostaje pierwszym dyrektorem.

Profesor W. Czechowicz posiadał niezwykle dar zjednywania sobie młodych ludzi. Był bardzo wymagającym dydaktykiem, a jednocześnie lubianym i podziwianym wychowawcą. Dzięki Jego zaangażowaniu i uporowi w krótkim czasie skonsolidowała się młoda społeczność akademicka zgrupowana wokół Wydziału i Instytutu Górnictwa.

Za pracę z młodzieżą został Profesorem w 1970 roku wyróżniony Złotą Odznaką ZSP. Posiada wiele odznaczeń państwowych (m.in. dwukrotnie Złoty Krzyż Zasługi, Oficerski Krzyż Orderu Odrodzenia Polski, tytuł „Zasłużony Górnik PRL”), za którymi kryje się ogrom ciężkiej pionierskiej pracy nad odbudową kopalń rejonu rybnickiego, częstochowskiego zagłębia rud żelaza, dolnośląskich kopalń węgla kamiennego, a tuż przed przejściem na Politechnikę, nadanie świetności polskiemu górnictwu węgla brunatnego.

Dla porządku przypomnieć trzeba jeszcze dwa fakty, dwa rozstania: pierwsze, kiedy po kilkuletniej intensywniej działalności żegnał się z czynną pracą wśród studentów i to drugie, kiedy nieubłagalna śmierć przecięła pracowitą nić żywota, 13 października br. w Dniu Nauczyciela. Można dopatrywać się w tym symbolu. Studiują już roczniki, które nie zetknęły się z Jego osobą, jednakże dla nich imię Profesora to ważki rozdział historii wydziału, historii człowieka, którego kilka poprzednich generacji absolwentów, przy okazji dorocznych, barburkowych spotkań, wspomina z atencją. Do wspomnień tych przyjdzie w tym roku dorzucić jeszcze jeden fakt, fakt najsmutniejszy, ale przecież nieuchronny. I jeśli każdy z tych, którzy spotkali się w życiu z Profesorem, w chwili refleksji nad swoim życiem i działalnością przypomni Jego sylwetkę, to znaczy, że swym życiem Profesor udowodnił, że go nie zmarnował.

ZABAWA W REGULAMIN

To Plenum RUSZSP odbyło się dość dawno, bo w maju. I nie byłoby może w tym fakcie nic nadzwyczajnego, gdyby nie sprawa, nad którą obradowano: „Samorządność w DS”. Wtedy to praktycznie uchwalono nowy regulamin DS, łącznie z pierwszym w Polsce *Vademecum* RM.

Zadałam sobie tyle trudu, że porównałam w/w *vademecum* z osiemnastym zeszytem *Zarządzeń i Wytycznych* pt. „Domy Studenckie” z 1970 r. i z ręką na sercu stwierdzam, że jest to prawie (różnica dwóch czy trzech sformułowań) żywcem przepisane z tegoż zeszytu.

No cóż, w końcu nic nowego w działalności RM się nie wymyśli. Wbrew temu, co stoi napisane wyżej i wbrew temu, co na ogół się sądzi, chcę coś zaproponować.

RM jako taka jest niewątpliwie instytucją potrzebną. Co do tego nie mam wątpliwości. Zaczynają się one jednak przy paragrafie I punkcie 3 który brzmi:

„Organem wykonawczym Rady Mieszkańców jest Prezydium Rady Mieszkańców, w skład którego wchodzi: przewodniczący, v-ce przewodniczący, sekretarz, przewodniczący Rady Klubu, kierownik radiowęzła oraz przewodniczący komisji problemowych: nauki, kultury, ekonomicznej, propagandy i informacji, pracy i czynów społecznych”.

Panowie, zastanówcie się nad tym co robicie! Czyż nie jest was zbyt dużo do kierowania życiem dorosłych bądź co bądź ludzi? Po co komu w DS komisje nauki, kultury itp? Przecież fakt, że przy każdym akademiku Politechniki egzystuje klub, powoduje dublowanie działalności. Wprawdzie w *Vademecum* użyte jest sformułowanie, że: „KK RM winna dążyć do pełnej integracji swych poczynań z Radą Klubu między innymi na drodze współuczestnictwa w programowaniu jego działalności”, ale praktyka jest inna. Wszystko i tak robi klub, o ile w ogóle coś robi.

Wydaje mi się, że następuje tutaj niepotrzebne rozdrobnienie i biurokracja. Po coż u licha tyle komisji.

A jak w praktyce wygląda działalność poszczególnych komisji? W zasadzie nijak. Weźmy po kolei (w kolejności, jak występują w *Vademecum*) wszystkie komisje, które działają, a raczej powinny działać w DS:

1. Nauki

Wymienia się aż dwanaście zadań stojących przed tą komisją, i znów większość z nich nie jest spełniana, bo spełnienie ich jest praktycznie niemożliwe... Jak świat światem nikt nigdy nie widział w DS żadnego pracownika naukowego udzielającego konsultacji, a jest o tym mowa w regulaminie. Tak samo mrzonką jest punkt 7, czyli „organizowanie nauki języków obcych”, bo lektor przy najlepszych chęciach nie ma czasu na prowadzenie dodatkowych (społecznych) zajęć. A płyty czy taśmy? No cóż, włożmy to na razie między bajki... Co do pomocy w nauce, czy sprzedaży skryptów, też mam wątpliwości. W praktyce idzie się do starszego kolegi bez pośrednictwa KN. Sens

tej imprezy widzę tylko w „Fosiku”. Tam jeszcze nie wiedzą co jest grane.

2. Kultury

Pomijając w/w fakt dublowania roboty, należy zdać sobie sprawę z tego, że Wrocław, to w końcu ponad półmilionowe miasto o wielu instytucjach kulturalnych. Mając do wyboru np. „Pantomimę” Tomaszewskiego czy imprezę klubową, 99% potencjalnych odbiorców kultury wybierze to pierwsze. I słusznie. Wiadomo, że imprezy klubowe w przeważającej większości są nudne i nieciekawe. I dopóki tak będzie, dopóty nie będzie publiczności w klubach. A więc słusznie, lepiej pójść do Filharmonii niż na nudną pogadankę do klubu.

3 i 4. Propagandy i informacji. Prace społecznie użyteczne

Wiadomo, że z informacją bywa różnie. Raczej gorzej niż dobrze. Ale jak by nie było, i tutaj występuje zjawisko dublowania. Przeważnie mieszkańcy DS są studentami, bywającymi (z różną co prawda częstotliwością, ale od czego poczta pantoflowa) na Uczelni, gdzie wszystko, co jest do ogłoszenia wywieszane się w gablotach i na plakatach. A w końcu do zapowiedzi tych paru sporadycznych imprez dotyczących tylko akademika nie trzeba całej komisji. Nie przesadzajmy. Z pracami społecznymi ta sama historia. Czynów nie robi się co tydzień, a do ich ogłoszenia wystarczy przewodniczący DS.

5. Działalności ekonomiczno-socjalnej i ochrony zdrowia

Co do tej komisji nie mam żadnych zastrzeżeń. Co więcej, uważam, że jest to jedyna komisja, która powinna działać na terenie DS.

6. Sportu

Niewątpliwie komisja potrzebna, zwłaszcza w męskich DS, bo kobiety do sportu ciężkie, oj ciężkie. Tylko, że znowu (poza chlubnymi wyjątkami, czytając: „Fosik”) jej działalność ogranicza się do wydawania sprzętu, najczęściej piłki. Wszelkiego rodzaju rozgrywki należą do rzadkości. A szkoda.

✱

A więc, jak powyżej wykazano, niepotrzebne jest 3/4 ludzi, którzy „działają” w DS. Wydaje mi się, że grupa 5-6 osobowa doskonale poradziłaby sobie ze wszystkimi, bo wzięwszy poszczególne komisje pod lupę, niewiele zostaje do roboty. Pomijając piękne hasła, przyjmijmy rozwiązania, które dyktuje nam życie.

Oprócz *Vademecum* wydano także nowy regulamin mieszkańców i przydziału miejsc... O ile drugi interesuje działaczy, to pierwszym zainteresowane jest szerokie forum. Pozwolę sobie zacytować fragment kończący „nowy” regulamin: „Proponowane zmiany w regulaminie mieszkańców DS rozpatrywano pod kątem zwiększenia samorządności. Wprowadzono zmiany realizujące ten cel jak również zmiany precyzujące dotychczas obowiązujące przepisy.

1. Pokojami gościnnymi i pomieszczeniami zastępczymi dysponować winna RM wspólnie z kierownikiem DS.

2. Umożliwia się zamieszkanie dodatkowych osób w pokoju drogą zageszczenia za zgodą Dziekana i mieszkańców pokoju.

3. Zwiększono termin zalegania z odpłatnością za mieszkanie DS z jednego na dwa miesiące.

4. Zwiększono czas dowolnej nieobecności na terenie DS z 7 do 15 dni.

5. Zakwaterowanie w DS dokonuje kierownik DS w oparciu o przydział miejsc dokonany przez RM.

6. Uściślono przepisy dotyczące przestrzegania BHP na terenie DS.”

Tak więc zmiany minimalne. No cóż, samorządność się rozwija. Na zakończenie chciałabym podzielić się pewną refleksją, która nie opuszczała mnie przy czytaniu tego regulaminu, a zwłaszcza *Vademecum*. Otóż, nie mogę pozbyć się wrażenia, że RM chce spełnić rolę dobrego wujka, który dba o ogólny rozwój nieletniego dziecka. W końcu mamy do czynienia z ludźmi dorosłymi, więc dajmy im odrobinę samodzielności. Niech ta dorosłość nie pozostaje tylko na papierze.

HANNA WALKOWICZ

P.S. Powyższy regulamin nie jest jeszcze obowiązujący. Na razie sprawa utknęła na szczeblu RUSZSP, ale wydaje mi się, że należałoby się jeszcze trochę nad nowym zastanowić.

Fot. K. ŁUKASIEWICZ





Artykułem Lecha Isakiewicza „ARTYSTA – POMOC CZY PRZESZKODA” redakcja nasza rozpoczyna serię artykułów poświęconych problemowi zatrudnienia absolwentów wyższych uczelni wrocławskich. Nieprawidłowości w zatrudnianiu artystów – co jest tematem niniejszej publikacji – wynikają wprawdzie ze specyficznych przyczyn, niemniej jednak są pewnym odzwierciedleniem sytuacji ogólnej w zatrudnianiu absolwentów.

REDAKCJA

Lech Isakiewicz

POMOC CZY PRZESZKODA

Co ma robić artysta, który ma dość. Dość rozplotkowanej atmosfery tzw. „kawiarni”, która nadaje ton w jego mieście.

Dość jałowych dyskusji o wyższości danego prądu w sztuce nad innym. Dość chwytania się przeróżnych dorywczych zajęć, wykonywania najpodlejszych chałtur, byleby jakoś wyżyć. Odpowiedź jest – myślę – bardzo prosta. Artysta powinien zająć się pracą. Ponieważ z samego tylko malowania obrazków nikt jeszcze nie wyżył (no chyba, że się jest Picassem czy Dali), należy zająć się twórczością użytkową. Wyższe szkoły plastyczne, do uprawiania tego rodzaju zawodu przygotowują dość gruntownie, zapotrzebowanie społeczne na wykształconych artystów jest ogromne, nic zatem łatwiejszego jak zapotrzebowanie z niewyżytej chęcią działania, z pożytkiem dla obu stron połączyć. Otóż to. Niby takie proste, a jednak skomplikowane.

W dniu 28 kwietnia 1973 roku we wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych powołano pełnomocnika rektora do spraw zatrudnienia absolwentów. Fakt ten miał znaczenie bardzo istotne i dla Szkoły, i dla absolwentów, i dla całego środowiska, od dawna bowiem wiadomo, że z jednej strony na domiar artystów cierpi Wrocław, z drugiej zaś tzw. „powiat” ma niedomiar w tym kierunku wykształconych ludzi. Funkcję pełnomocnika zaczął sprawować znakomity artysta i organizator, twórca szkła w hucie „Szczytna”, Zbigniew Horbowy. Działalność rozpoczął najbardziej chyba rozsądnie jak tylko można sobie wyobrazić. Rozesłał trzysta ankiet do trzystu instytucji na terenie województwa wrocławskiego oraz do takich zakładów pracy poza województwem, które mogłyby okazać się potencjalnymi chlebodawcami świeżo upieczonych posiadaczy dyplomów pod nazwą – artysta plastyk. Ankietę, zwięźle i przejrzyście informowały Obywateli Dyrektorów poszczególnych zakładów o kierunkach studiów PWSSP oraz o zakresach prac specjalistycznych, do których absolwenci danych kierunków są w czasie studiów przygotowywani. Jedna stro-

na dokumentu została tak spreparowana, że wystarczyło ją odpowiednio wypełnić i nawet nie adresując wysłać odwrótną pocztą do rektoratu Szkoły. Strona ta była ofertą ewentualnego zakładu na zatrudnienie absolwentów PWSSP. Z wysłanych przez Horbowego ankiet, dwieście pozostało bez odpowiedzi, w pozostałej setce, pięćdziesiąt jeden zakładów odpowiedziało negatywnie (że nie widzą możliwości zatrudnienia żadnego artysty), czterdzieści dziewięć zaś przysłało konkretne propozycje, niejednokrotnie bardzo interesujące. Tym prostym sposobem, bardzo niewielkim nakładem pracy, wrocławska Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych zarezerwowała dla swoich absolwentów osiemdziesiąt etatów. Trudności jednak rozpoczęły się dopiero teraz.

Póki nie powstała żadna inicjatywa w tym kierunku, póki plastycy po skończeniu studiów pozostawiani zostawali własnemu losowi, istniało wiele pretekstów do utyskiwań nad ich marnym losem. Wysiadywali oni w kawiarniach, dyskutowali o wyższości tego prądu nad owym, chwytali się przeróżnych chałtur byleby wyżyć, a niektórzy to nawet i malowali, rzeźbili albo uprawiali sztukę konceptualną. Uzyskanie jednak owych osiemdziesięciu etatów zmieniło sytuację diametralnie. Okazało się bowiem, że nie ma kim tych etatów zappełnić. Z osiemdziesięciu proponowanych Szkołe, wykorzystanych przez absolwentów zostało zaledwie jedenaście.

Były to dane z roku ubiegłego. W roku bieżącym, ankietę wysłana została ponownie, i do nie obsadzonych ubiegłorocznych sześćdziesięciu dziewięciu doszło w miesiącu październiku nowych dziesięć miejsc, z których większość jest nie tylko interesująca, a wręcz zachęcająca do natychmiastowego udania się tam i podjęcia pracy. Takie na przykład Zakłady Fajansu i Płytek Ceramicznych w Radomiu proponują plastykowi, który zgodzi się przyjechać, cztery tysiące złotych po stażu i możliwość wykonywania i wypalania swoich prac w zakładzie. Inne zakłady – Wyrobów Sanitarnych i Kanalizacyjnych w Bolesławcu, zatrudnią dwóch projektantów oferując im

także cztery tysiące złotych i mieszkanie w ciągu roku. Podobnych propozycji jest wiele. A wykorzystanych zaledwie jedna osma. Co jest tego przyczyną? Odpowiedź nie jest taka prosta. Przede wszystkim niechęć do opuszczania dużego miasta wojewódzkiego, które mimo dużej konkurencji ofiarowuje także duże możliwości zarobkowania, no i nie traci się kontaktu ze środowiskiem. Następna sprawa, a jest ona bołączką nie tylko młodych artystów plastyków, która powoduje, że niezbyt chętnie wyjeżdżają oni na „prowincję”, to brak mieszkań. Zakłady oferujące pracę albo pomijają ten problem milczeniem, albo zadawalają się bardzo mglistymi zapewnieniami, że przyszły projektant otrzyma mieszkanie po roku czy dwóch. Nie ten jednak problem jest najważniejszy. Najważniejszą – w moim odczuciu – jest tzw. dyscyplina pracy, z którą ani rusz artyści poradzić sobie nie mogą.

– Nie potrafisz zrozumieć – powiedział mi jeden ze znajomych artystów – dlatego praca twórcza mierzona jest ilością przepracowanych godzin, a nie efektami. Projektowanie to nie robienie śrubek na akord, a pomysły, te znakomite, najczęściej przychodzą w godzinach, które z normalnymi godzinami pracy niewiele mają wspólnego. Dyrektorów to jednak najczęściej nie obchodzi. Oni wymagają: przychodzenia na siódmą, podpisywania listy obecności i odsiedzenia swoich siedmiu czy ośmiu godzin, nawet jeśli się nie ma niczego konkretnego do wykonania. W czasie mojej pracy w jednym z zakładów przemysłowych w Legnicy nikt nie widział, że rozkręciłem całą robotę, że zorganizowałem pracownię projektowania przemysłowego, że zakład także i dzięki temu mógł się pochwalic lepszą produkcją; dla wszystkich było najważniejsze, że byłem niepunktualny i że wtedy, kiedy faktycznie nie miałem nic konkretnego do roboty, to nic nie robiłem, a nie udawałem, przekładając z miejsca na miejsce papiery.

– Jest to poważny problem – odpowiedział mi Zbigniew Horbowy, do którego zwróciłem się o wyjaśnienie. – Konieczność pracy w pełnym wymiarze godzin oraz traktowanie projektantów jako artystów do wszystkiego, zniechęca naszych absolwentów najbardziej. Kierownictwa większości znanych mi zakładów zupełnie nie mogą pojąć, że naszą pracę należy mierzyć efektami, a nie odsiadzanymi godzinami. Rozwiązanie może być jedno – zmiana sposobu zatrudnienia artystów.

Warto może wziąć pod uwagę propozycję rozwiązania tego problemu przez Horbowego. Sugeruje on mianowicie nie zatrudnianie artystów w zakładach przemysłowych. Fabryka chce – dajmy na to – wprowadzić do produkcji nowy model obrabiarki. Dane techniczne, ulepszenia, technologia, etc. zostały już opracowane, pozostaje teraz

teatr studencki we Wrocławiu

Włodzimierz Garszka



Wrocław jest ośrodkiem akademickim, który najwcześniej zainteresował się możliwościami aktywnego oddziaływania na środowisko i uczestnictwem w dyskusji nad zasadniczymi aspektami życia społecznego poprzez teatr. Chociaż początek polskiego teatru studenckiego przypada na rok 1954, na moment startu *Bim-Bomu*, to forma studenckiej twórczości scenicznej, która teatr w dzisiejszym rozumieniu i dzisiejszych kryteriach estetycznych, formalnych oraz intelektualnych poprzedziła, jest o wiele starsza. We Wrocławiu odbyło się pierwsze przedstawienie studenckie już na przełomie roku 1945/46, kiedy to kilkudziesięcioposobowa grupa studentów utworzyła *Szopkę Akademicką*. Krótki żywot tego teatrzyku należy w głównej mierze przypisać nieporadności artystycznej i dążności do eklektyzmu w obrębie prezentowanych postaw, co w rezultacie równało się niemożności przyjęcia jakiegokolwiek stanowiska wobec spraw, którymi żyło wówczas środowisko akademickie. Czysto rozrywkowe ambicje zespołu wzbudzały wiele krytyk i nieporozumień, podczas gdy teatr nie chciał podejmować tematyki, która była eksponowana przez środowisko w innych formach pracy, środowisko chciało mieć teatr o takich właśnie zamierzeniach.

W roku 1952 studenci Politechniki Wrocławskiej utworzyli *Akademicki Teatr Dramatyczny*. Jego czteroletnia działalność przyniosła kilka interesujących jak na owe czasy i żywych dla środowiska przedstawień, w których szczególnie uwidoczniły się sympatie dla nowych idei i wielka ciekawość teatru. Przykład Politechniki rozbudzał ambicje pozostałych uczelni Wrocławia. Uniwersytet zakłada *Teatr Uniwersytecki*, który jednak nie wytrzymuje konkurencji Politechniki, mającej wówczas najlepszą scenę akademicką w kraju. Później do głosu doszły inne ośrodki.

Już po roku 1954 Wrocław ma kilka teatrów studenckich, z których żaden jednak nie zyskał większego uznania. Działają wtedy: teatrzyk satyryczny *Ponuracy*, teatrzyk eksperymentalny *Co nie co, Zez*. Dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych pojawiają się dwa teatry przywracające miastu miano najlepszej sceny akademickiej w kraju. Mowa tutaj o *Pandorze* i *Kalamburze*. Powstała w roku 1958 *Pandora*, rozwija uprawiany przez siebie w początkowym etapie gatunek poetyckiej estrady w kierunku teatru poezji o walorach widowiskowych. Pojawiły się wstawki pantomimiczne, kompozycje plastyczne,

dbałość o poziom recytacji, dobór repertuarowy i zawartość formalną prezentowanych przedstawień. *Pandora* miała ambicje teatru podejmującego problematykę polityczną przy jednoczesnych skłonnościach do przesadnego filozofowania i pomnikowego patosu. Będąc teatrem poezji starała się *Pandora* w tym gatunku literackim odnaleźć wszystkie tony ówczesnych nastrojów, dążeń i postaw, co nie zawsze mogło się twórcom udać, jednostajne trzymanie się raz przyjętego zakresu artystycznego przy ciągle postępującym rozwoju zakresu tematycznego musiało doprowadzić do jałowego w końcowej fazie teatru filozofowania. Zanim przedziemy do *Kalambura*, warto wspomnieć o jeszcze jednym teatrze, który chociaż dziś już zapomniany, to na początku lat sześćdziesiątych nie pozostał bez echa i wpływu na powszechny kierunek poczyną studenckiego ruchu teatralnego. Okrzyczana potem skłonność do negacji i nastroje zniechęcenia u młodzieży studenckiej przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dały o sobie znać w pierwszych programach teatru *Człowiek XX*.

W następnych programach znalazła wyraz wątpliwość co do trwałości świata i jego zawartości. Te spektakle dające katastroficzne wizje zagłady, próbowały wskazać na zanik wartości moralnych, rodzący w swym następstwie winę powszechną całej ludzkości i na nią kładący ciężar odpowiedzialności za przyszłość. Nie ulega wątpliwości, że taka postawa o wymiarach moralistyczno-filozoficznych nadawała teatrowi znamiona zaangażowania, z drugiej jednak strony przesadne wyolbrzymianie całej sprawy gubiło początkową świeżość poruszanego kregu problemów i prowadziło ku płytkiej eschatologii. *Człowiek XX* próbował spojrzeć na aktualne problemy od innej niż potoczna strony, wskazując na możliwości penetracji metafizycznej. Odkrył pomijaną długo sferę życia duchowego, które niekoniecznie musi ustępować i dawać pierwszeństwo sprawom codziennym. Rzecz tylko w tym, jakich środków użyjemy i jak daleko spojrzymy w ten bezprzecznie frapujący obszar życia, aby go nie przejaśkawić, ale także nie zbagatelizować. *Człowiek XX* specjalizował się w montażach utworów poetyckich łączonych z fragmentami prozy lub scenami ze współczesnej dramaturgii. Uzyskaną w ten sposób strukturę scenaryjną uzupełniano następnie o wartość najważniejszą — autentyczną osobowość w sztuce i niekłamana potrzebę wypowiedzi.

W roku 1958 powstał *Kalambur*, a jego pierwszy spektakl „Konfiskata gwiazd” był wyzwaniem rzuconym satyrze przedmiotowej w imię uogólnień. Pelen symboli i aluzji nie spełnił spektakl zamierzonej misji, wyzwanie nie rozstrzygnęło o zmianie dotychczasowego kierunku w teatrze studenckim. Należy sądzić, że to zadecydowało o porzuceniu sporów metodologicznych w obrębie sposobów prezentacji idei w teatrze. Dalsza droga *Kalambura* wiodła ku grotesce i liryce, ku skrótowni scenicznemu. Teatr podejmował zamieszczania w obrębie jednej struktury spektaklowej kilku gatunków scenicznych ułożonych w zgodną kompozycję i wzajemnie się przenikających. Działalność *Kalambura* nie ograniczyła się do dużej sceny, najbardziej reprezentatywnej dla teatru. W momencie, kiedy za interesowania zespołu ciążyły ku poezji i dramaturgii, satyra i humor znalazły swe miejsce w kabarecie *Kalamburek*. Później, gdy podstawą *Kalambura* był dramat, poezja ciesząc się nadal zainteresowaniem aktorów realizowana była w *Scenie Poezji Kalambura*. Poszukiwania w obrębie współczesnej dramaturgii, początkowo cząstkowe, nastawione na pewne elementy dramatu przesuwwały się stopniowo ku generalnemu zainteresowaniu współczesnym dramatem, ku uczynieniu z niego naczelnej struktury obrazującej, transponującej wypowiedź potoczną na system znaków języka teatralnego. Apogeum tej transpozycji osiągnął *Kalambur* w „Szewcach” Witkacego. Była to światowa prapremiera tego dramatu, wypełniła ona dotkliwą lukę w polskim teatrze studenckim, lukę już wówczas wieloletnią. Było to pierwsze wielkie osiągnięcie *Kalambura*, triumfalny pochód przez polskie sceny i udana konkurencja z teatrem zawodowym.

„Szewcy” wrocławskiego *Kalambura* roku 1965 były pierwszym i nie ostatnim wielkim wydarzeniem w tym teatrze. Ale na drugi sukces czekali długo, bo aż pięć lat. Po roku 1965 nastąpił wyraźny regres, wszystkie kolejne przedstawienia zdecydowanie ustępowały „Szewcom”. Zmieniło się także kierownictwo teatru, Wł. Hermana zastąpił B. Litwiniec. Dopiero w roku 1970 Litwiniec realizuje widowisko oparte na wierszach Urszuli Koziół „W rytmie słońca”. Nowoczesny warsztat aktorski i techniczny, wykorzystanie zdobyczy awangardy lat sześćdziesiątych dały spektaklowi powszechne uznanie i niezaprzeczalną wartość w dorobku polskiego teatru studenckiego. Muzyczna partytura spektaklu wypełniona plastyką aktorstwa, bogactwo działań scenicznych, ruch, ciągła zmiana sytuacji, przeplatanie się nurtu ciągłego z wielością epizodów, wszystko to zawarte w tym przedstawieniu, precyzyjnie reżyserowane i wykonane przesądziło o nowoczesnym teatrze. Zaraz potem przyszedł drugi regres i to, wydaje się, o wiele głębszy od poprzedniego.

W roku 1963 powstał studencki teatr pantomimy *Gest*. Pomimo małej ilości premier, co długo było w teatrze studenckim zjawiskiem wyjątkowym, *Gest* wpisał się na listę najciekawszych teatrów ostatnich lat. Jego siłą są w pierwszym rzędzie znaczne umiejętności techniczne mimów. Korzystając ze zdobyczy nowoczesnej pantomimy (Tomaszewski) teatr wypracował własny zakres sposobów i rodzajów mowy uniwersalnej.

Gest wychodząc w swej pracy od ćwiczeń ciała i ruchu do indywidual-

nych i zbiorowych etiud dał zespołowi umiejętności techniczne niezbędne przecież w pantomimie. Ten wstępny dla każdego mima etap pracy pozwala mu później swobodnie poruszać się w fakturze przyszłego widowiska i wyzwalać niehamowany trudnościami zewnętrznymi proces twórczy. Ta prosta i podstawowa zasada postępowania, właściwa nowoczesnej pantomimie, przy jednoczesnym rozwijaniu myślenia twórczego, jest sekretem wielu udanych występów *Gestu* w ostatnich latach.

Z nowych sił studenckiego teatru Wrocławia warto wskazać na kilka zjawisk przybierających bardzo odmienne oblicza i orientacje artystyczne. To kryterium nowości przebiega zresztą na równej linii chronologicznej, we wspólnym momencie czasowym powstania dwóch teatrów budzących największe nadzieje dla teatru studenckiego we Wrocławiu. Miły akcent należy jednak zostawić na koniec, a przedtem wspomnieć jeszcze o tym, co raczej nadziei na przyszłość nie budzi. Teatr *Nawias* próbował już bardzo różnych gatunków i poetyk scenicznych. Od widowisk o zamierzonej tendencji politycznej poprzez ironię i satyrę społeczną, obyczajową, dyskusję nad przeszłością, poezję, teatr intelektualny, abstrakcyjny, aż do pomieszania tego wszystkiego razem. W czasie swojej wieloletniej już działalności teatr ten niczego istotnego jednak nie osiągnął, poza całą gamą pomysłów zawsze już przestarzałych niczego no-

wego wprowadzić nie zdołał. Jest to jeden z najlepszych przykładów na niemotywowane, nieuzasadnione istnienie teatru, teatru bez sensu. Bliska poczynaniom *Nawiasu* była *Persona*, która też nie wiedziała o co właściwie jej chodzi w realizowanych przedstawieniach. Tam również są całe rozdziały pomysłów i chwytów bez uzasadnienia, bez znaczenia, bez sensu. To drugie smutne zjawisko. Studencki teatr *Ekspozycje* bardzo się myli sądząc, że nie trzeba niczego umieć, aby mówić w teatrze o czymś, co inni też chcieliby zrozumieć i wynieść z tego jakiś pożytek, a czemu w tym wypadku nie podolają. Oprócz teatru ubogiego nie istniała nigdy dotychczas technika wyzbywania się umiejętności, ale kiedy oglądałem przedstawienie „Ekspozycji” zaczynałem mieć wątpliwości, czy o jakiejś technice teatru ten kiedykolwiek słyszał i czy sam wie co robi. W każdym razie stara się, aby niczego nie umieć. Trzeci smutny wypadek.

W roku 1971 powstały dwa interesujące teatry: *Misterium* i *7 Grupa Profesora Sztajmeca* (obecnie: *Teatr Profesora Sztajmeca*). Oba debiutowały w Toruniu wiosną następnego roku i oba zdobyły nagrody. „Bramy raju” na motywach utworu Andrejewskiego i „Założone konie” wg. Borowskiego wniosły do teatru studenckiego nowy pierwiastek. Ostra w wyrazie, surowa w formach plastycznych poetyka *Misterium*, ekspresja aktorska — gwałtowna tutaj, spontaniczność i szczerość wy-

powiedzi tworzą wspólnie zmysłową stylistykę o silnym oddziaływaniu na wrażeniowość widza. Jest to teatr autentycznego przeżycia aktorskiego. Intelektualna sfera jego spektakli formowana w surowej atmosferze scenicznej silnie atakuje, zmusza do odbioru całkowitego, gdzie to, co intelektualne i to, co wrażeniowe jest jednym silnym przeżyciem teatralnym. *Teatr Profesora Sztajmeca* otrzymał w Toruniu nagrodę za tworzenie nowego języka teatralnego. Obie prace teatru: „Żywopłot” i „Współtwórcy” powstałe w wyniku uporządkowanej i zespolonej improwizacji aktorskiej są zaawansowaną próbą tworzenia teatru czysto aktorskiego, bez zewnętrznych ingerencji w proces twórczy aktora, gdzie emocja i intelektualizm uzyskują plastyczny kształt działania scenicznego w oparciu o naturalność i spontaniczność wypowiedzi. Wszystko, co spektakl niesie, dzieje się wewnątrz grupy realizującej określone zamierzenia, wszystkie znaczenia rodzą się w grupie i dla niej istnieją. Teatr pozostawia widzowi całkowitą swobodę interpretacji, daje mu poczucie niezależności. Widz nie podlega aktorowi, tak jak aktor nie podlega jemu. Obaj jednak mogą się doskonale rozumieć i poza teatrem również. Bogactwo działania scenicznego dostarczające bogactwa wrażeń, wyzwala przecież najbardziej nawet ukryte zakamarki świadomości. A to oznacza bardzo wiele. Te dwa teatry mają sens istnienia.

WŁODZIMIERZ GARSZTKA

Fot. E. BACZYŃSKA



W ostatnich kilku latach notuje się gwałtowny wzrost zainteresowania kinem. Być może jest to zasługa takich przebojów jak: *Love story*, *Port lotniczy*, *Ostatnie tango...*, *Wielkie żarcie* czy *blood story* — Ojciec Chrzestny. My też mamy swoje szlagiery: *W pustyni i w puszczy* w ciągu 10 tygodni obejrzało go ponad 13 mln widzów.

Dyskusyjny Klub Filmowy „Politechnika” powstał w grudniu 1965 r., w okresie, gdy DKF-y przeżywały okres swego bujnego rozwoju. Istniało w kraju wówczas ponad dwieście DKF-ów — w większości akademickich. We Wrocławiu działało już siedem takich klubów przy czym ton nadawał DKF Rady Okręgowej ZSP. Wtedy to zebrała się na naszej Uczelni grupa autentycznych zapaleńców, którzy znaleźli sprzyjający klimat organizacji ZMS Politechniki Wrocławskiej. Obecnie klub związany jest z SZSP, ale mimo to jest klubem otwartym i służy również mieszkańcom dzielnicy Śródmieście. Klub jest członkiem Polskiej Federacji DKF-ów (powstała w 1957), w pracach której bierze od początku aktywny udział, a przedstawiciel klubu zawsze piastował wysoką godność we władzach Federacji.

Dziś w Polsce istnieje ponad 350 DKF-ów, we Wrocławiu — 12, przy tym DKF „Politechnika” należy do ścisłej czołówki krajowej, nie tyle z racji stażu, co z rozległości działania i mnogości imprez cyklicznych. Nic też dziwnego, że od blisko pięciu lat DKF ma z reguły komplet widzów, a przez kilka ostatnich miesięcy, ilość widzów znacznie przekraczała liczbę miejsc.

O sensie istnienia DKF-ów stanowi specjalny repertuar. Wynajdowano filmy, które nie mogły trafić do masowego widza z różnych względów: czy to natury etycznej, czy z racji trudności poruszanych tematów, czy też dystrybutorzy zagraniczni zastrzegali, iż sprzedają je wyłącznie dla klubów filmowych, bez prawa eksploatacji w kinach, czy wreszcie ze względów natury politycznej. Istniała tzw. pula specjalna — filmy do wyłącznego rozpowszechniania w DKF-ach zakupywane w jednej kopii. Dzięki takiej polityce, w końcu lat 50-tych i w latach 60-tych można było do Polski ściągnąć szereg filmów, które dawały pełny obraz aktualnej sytuacji w kinematografii światowej. Koniunktura załamała się, kiedy wprowadzono formę kin studyjnych, pomysły jako instytucje typowo komercyjne. Zrodziły się wtedy pewne tendencje konkurencyjności — konieczność lansowania drugiej puli, która docierałaby do ogółu odbiorców, poza krąg koneserów. Niestety, kina studyjne nigdy nie miały żadnego sensownego i przemyślanego programu, poza pewną chaotyczną, doraźną, koniunkturalnymi względami podyktowaną potrzebą działania. I nigdy niczego sensownego się nie dopracowały.

Owa konkurencyjność kin studyjnych, jak i pewne posunięcia naszych władz filmowych zaważyły na tym, że pula DKF-ów pod koniec lat 60-tych zaczęła się gwałtownie kurczyć. Dziś w zasadzie nadal można mówić o istnieniu puli specjalnej, z tym że znajduje się ona w stadium szczytkowym tzn. 2-3 pozycje w skali rocznej. CWF — dystrybutor i monopolista filmów w Polsce — stosuje określoną politykę repertuarową. Nie zawsze uwzględniała ona interesy stowarzyszeń filmowych. W pewnych okresach dochodziło do zu-



Wojciech Aleksiewicz

pełnie jawnej i otwartej dyskryminacji ruchu. Deprecjonowano wszelkie jego osiągnięcia i wartości, wszelkie wypracowane formuły, które sprawdziły się już i ugruntowały. Proponowane DKF-om pozycje nie spełniały już żadnej roli artystycznej, nie zaspokajały aspiracji dojrzałych widzów. W takiej sytuacji dysponuje się filmami z puli kin studyjnych. I tu zachodzi pewna kolizja interesów między kinami studyjnymi — jako systemem komercyjnego rozpowszechniania, a DKF-ami. Oczywiście, w owej konkurencji DKF-y z góry skazane są na przegraną. Poszczególne filmy są eksploatowane w sieci kin studyjnych, a po kilku latach doszczętnie zgrane kopie trafiają do DKF-ów. Nastąpiło nie tylko zmniejszenie ilościowe, ale i jakościowe. Filmy, „wyłącznie dla DKF-ów” niczego nie oddają z tego, co obecnie liczy się na świecie. W połowie lat 60-tych widz dowiadując się o potężnych prądach w kinematografii światowej, niemal systematycznie miał możliwość konfrontować to, co o danym filmie słyszał — z samym dziełem. Kluby filmowe miały sens, bo „trzymały rękę na pulsie”.

Obecnie ukształtował się uwzględniający panującą sytuację nowy model upowszechniania kultury filmowej: kina studyjne dają przegląd aktualnych wartościowych filmów polskich i zagranicznych, natomiast kluby filmowe poszerzają ten repertuar o filmy archiwalne. W tym, na pewno nie najszcześliwszym

modelu, zapomniano tylko o jednym, o filmach bardzo wartościowych, nie sprowadzonych do szerokiego rozpowszechniania z omawianych już wyżej względów. Dziś filmy serwowane w DKF-ach ogląda cała Polska. DKF-y mogą też czasem korzystać z filmów premierowych na zasadzie równorzędności z innymi kinami, jak i z filmów przedpremierowych, z wyprzedzeniem parotygodniowym, co uzupełnia repertuar o bieżące aktualia.

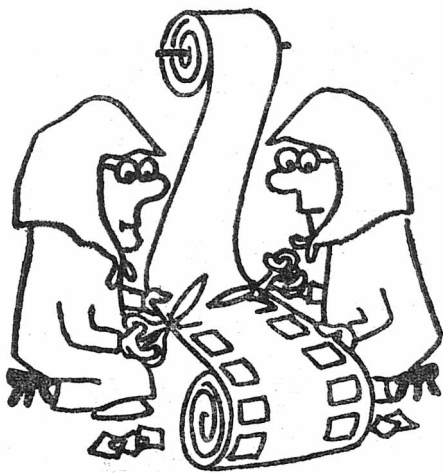
W sytuacji, gdy nie było de facto żadnego metodycznie opracowanego szkolenia zaznamiającego z dorobkiem sztuki filmowej, lukę w filmowej edukacji wypełniały DKF-y. Jeżeli dziś możemy poszczycić się istnieniem pewnej grupy krytyków, teoretyków, czy ludzi profesjonalnie związanych z filmem, to zawdzięczamy to DKF-om. A jest jeszcze jedna, bardzo ważna rola dyskusyjnych klubów filmowych — edukacja historyczna (tylko DKF-y mają przywilej korzystania z filmów archiwalnych z FilMOTEKI Polskiej czy z archiwum Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi). Z tych filmów można było i można w dalszym ciągu, choć z ograniczeniami, komponować zwarte metodycznie cykle monograficzne poświęcone określonym nurtom, szkołom, prądom, czy wreszcie cykle poświęcone wybranym twórcom i odtwórcom — aktorom. I tak, w naszym DKF-ie zrealizowano cykle: *Sztuka filmowa ma 75 lat* (filmy-wydarzenia; od braci Lumierre po filmową awangardę), *25 lat Ludowego Wojska Polskiego*; *Retrospektywy historyczne* (poświęcone wybitnym twórcom), *Twarze 75-lecia* (gwiazdy i gwiazdorzy filmowi). *Adaptacje filmowe arcydzieł literatury światowej*; *Angielscy «młodzi gniewni» spod znaku Free Cinema*; *Retrospektywy kina polskiego XXX-lecia*.

DKF jest miejscem, gdzie sprawdzają się szersze inicjatywy kulturalne, większe przedsięwzięcia typu seminaryjnego, jak np. *Bohater filmowy polskiego XX-lecia*; *Pokolenia młodych Polaków na ekranie* czy *Polska współczesna w filmie telewizyjnym*.

Klub „Politechnika” często gościł znanych reżyserów z okazji projekcji ich filmów. Studenci spotkali się z Lenartowiczem, Chęcińskim, Załuskim, Żuławskim, Królikiewiczem, Krauzem, Piotrowskim czy Kondratiukiem. Przez DKF przewinęła się również cała plejada krytyków, absolwentów Łódzkiej Szkoły Filmowej i znanych aktorów.

Od pierwszych dni działalności DKF za obowiązującą przyjął formułę: prelekcja—projekcja—dyskusja. O ile w pierwszych latach jego istnienia dyskusje były czymś normalnym po każdym filmie, o tyle od kilku już lat nie zawsze dochodzi do konfrontacji postaw, poglądów, czy opinii. W dużej części problem dyskusji „załatwiają” wnikliwe recenzje prasowe i wcześniejsze dyskusje w... publikatorach. Nie znaczy to jednak wcale, że klub całkowicie przestał się na niema konsumpcję. W niektórych sytuacjach niespodziewanie i spontanicznie narasta chęć do dyskusji, i wówczas jest to autentyczna i bardzo wartościowa wymiana poglądów.

Są na Politechnice ludzie, którzy nic o naszym DKF-ie nie wiedzą. Ludzie ci uczą się, a nie studiują, interesują się sportem i jest im dobrze. „Odchamieniem” nazywają pójście do operetki. Czasem chodzą do kina na włoskie komedie i NRD-owski westerny. Lubią tzw. „fajne filmy”.



Rys. POGI

KLUB

bardzo dobrej
roboty

Wojciech Aleksiewicz

Amatorski ruch filmowy na naszej Uczelni ma już swoją historię. Zaczęło się w 1969 roku od utworzenia przy Radzie Uczelnianej ZSP klubu filmowego Grupa O, który jeszcze dwukrotnie zmienił nazwę na: *Lumen*, a następnie na *Tapetę*. W tym samym czasie przy Zarządzie Uczelnianym ZMS powstał klub filmowy *Kwant*. Niedługo jednak oba kluby działały oddzielnie, bo już w 1973 roku połączyły się, przyjmując nazwę *Akademickiego Klu-*

bu Filmowego Rysa, oraz patronat RU, SZSP Politechniki. Warto tu wspomnieć o ludziach, którzy dali początek filmowym klubom studenckim. Myślę tu o Juliuszu Multarzyńskim i Olku Zakowiczu. To Olek właśnie nakręcił pierwszy film pt. „Chemiczny świątek”. Obaj ci panowie oczywiście nadal działają na „filmowostudenckiej” niwie przekazując swoją wiedzę i doświadczenia najmłodszym adeptom dziesiątej Muzy.

Filmy jakie kręcą członkowie AKF-u są filmami artystycznymi. Wszystkie opierają się na ich własnym pomysły i scenariuszu. Wymaga to ogromnego nakładu pracy i masy czasu. Przykładowo: nakręcenie pięciominutowego filmu trwa około sto pięćdziesiąt godzin. Poza filmem artystycznym stale kręcona jest Kronika Uczelni. Klub otrzymuje również zlecenia na filmy reklamowe o Politechnice potrzebne wyjeżdżającym za granicę delegacjom. Członkowie klubu (pracownicy naukowcy i studenci) poświęcają filmowi każdą wolną chwilę. Dlaczego wybrali właśnie film? Zgodnie uważają, że ze wszystkich dziedzin sztuki, dopiero film, będący fantastycznym konglomeratem obrazu, słowa, muzyki i barwy, urzeczywistnia najpełniej i najdoskonalej każdy ich artystyczny zamysł. Trzeba nie bywale jakiego samozaparcia i poświęcenia, aby z posiadaniem sprzętem kręcić. Właśnie — sprzęt. Klub ma poważne z nim kłopoty (wiadomo, drogie to i psuje się łatwo). Brak na przykład stołu montażowego z prawdziwego zdarzenia. A więc gotowy film jest nie tylko zapisany na celuoidowej taśmie pomysłem artystycznym, jest on również wynikiem zmagania ze szwankującym sprzętem, techniką i tysiącem innych trudności. A zatem — satysfakcja podwójna.

W tej chwili AKF *Rysa* należy do najlepszych, obok krakowskiego *Oma-ku* i warszawskiej *Stodoły*, klubów filmowych w Polsce. I tak, na IV Festiwalu Filmów Studenckich w Krakowie,

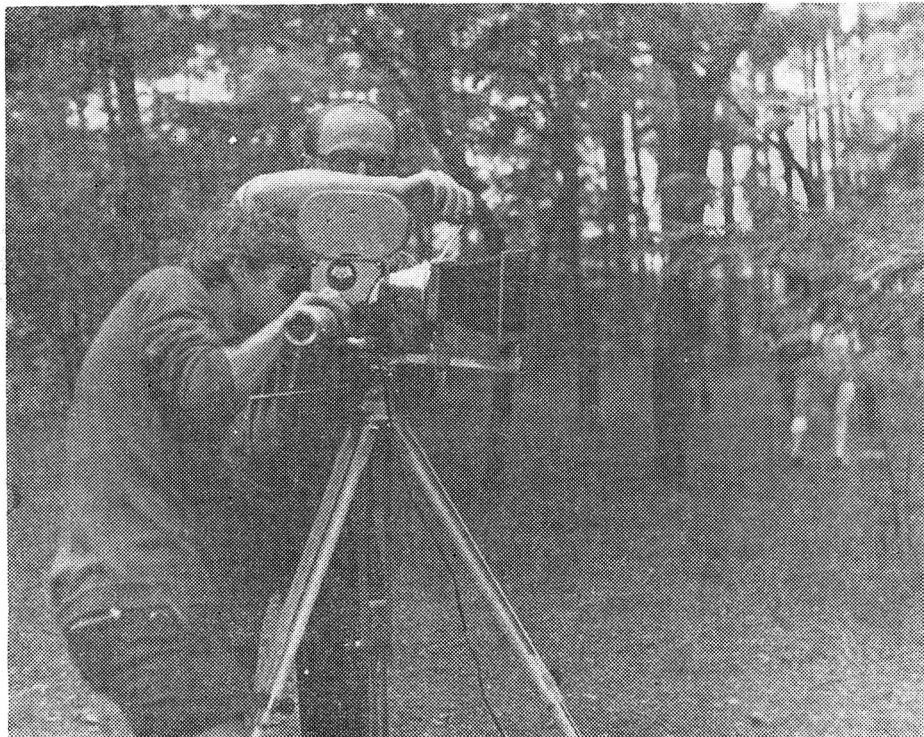
nagrodę specjalną otrzymał film „Western Story” Adama Kokota, Michała Kroka, Jerzego Sikory i Ali Makowskiej. Tamże wyróżnienie otrzymał film „Maski” Andrzeja Zwanickiego. Ogromnym uznaniem cieszył się film Ryszarda Szkopa pt. „Jeden z nas” nagrodzony na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Amatorskich w Sofii. Klub *Rysa* został zakwalifikowany do uczestnictwa w Festiwalu Filmów Studenckich w Amsterdamie w 1973 roku, gdzie swoje filmy pokazywał jako jeden z trzech uczestniczących klubów z krajów socjalistycznych. W kwietniu tegoż roku klub był organizatorem Trzeciego Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Studenckich. Wtedy to na Politechnikę zjechało z całego kraju stu zaproszonych filmowców — amatorów, przywożąc ok. siedemdziesięciu filmów.

W czasie wakacji letnich organizowane są obozy warsztatowe, na których szkoli się „narybek” w zakresie realizacji, montażu i sztuki operatorskiej (w chwili obecnej już ponad dwadzieścia osób posiada uprawnienia do kręcenia filmów). Na niezwykle fantastycznym obozie filmowym nad jeziorem Biała k. Włodawy nakręcono trzy filmy.

Ostatnio AKF przeszedł w gestię Działu Imprez Studenckich. RU SZSP udziela jedynie swojego patronatu. Z reguły w tego typu publikacjach nie pisze się o planach na przyszłość. Tu jednak odstąpię od zasady, gdyż sprawa jest tak nietypowa, co dziwne. Pomysł wyszedł od Krzysztofa Zalewskiego (Pugęta 42), który jest niespokojnym duchem „firmy”, a jego fantastyczne koncepcje, zresztą realizowane, nie mają sobie równych w środowisku. Otóż postanowiono zrobić coś na miarę swoich ambicji (i chyba jednak możliwości!), a mianowicie (uwaga, teraz będzie po angielsku): First International Festival Students Films (w marcu 1976 r.). I rozesłano na cały świat zapowiedzi festiwalowe. Nadeszło kilkanaście konkretnych zgłoszeń. Zapewniono pomoc organizacyjną wielu ambasad i pomoc finansową licznych instytucji. Powołano Biuro Organizacyjne Festiwalu. Pomimo tak zaawansowanych prac organizacyjnych i zgody wszystkich kompetentnych czynników oficjalnych, Festiwal zakwestionowała... organizacja studencka, a mianowicie Zarząd Główny SZSP w Warszawie. Nie pomogły usilne starania naszej Rady Uczelnianej, dla której była to impreza prestiżowa. Argumentacja Zarządu Głównego była zupełnie nieprzekonywująca, zresztą zmieniano ją wraz z upływem czasu, który stawał się coraz bardziej cenny. Najmocniejszym ich argumentem było to, że jakoby Wrocław miał już za dużo festiwali (a jeszcze Grotowski, Tomaszewski). I słusznie, miasto i środowisko studenckie nie może być zbyt „ukulturalnione”. Piwo do klubów — chciałoby się zawołać — kultura kalorii nie daje!

Sprawa festiwalu jest jeszcze dyskutowana, a trwa to już ponad... pół roku, no ale przecież waga decyzji jest wprost proporcjonalna do czasu jej podejmowania.

Koniec dygresji, ad rem. AKF organizuje często przeglądy własnych filmów i zawsze chętnie urządzi pokaz w Twoim klubie czy na robionej przez Ciebie imprezie (mieści się w T-4, wejście od tyłu!). Firmie patronuje łaskawie sam Ryszard Magister Szkop.



Przy kamerze Ryszard Szkop

nadać dziełu odpowiedni kształt plastyczny. Nic prostszego. Odpowiednio wyspecjalizowane biura (trochę na wzór PSP, ale jednak inaczej) dysponujące armią wyspecjalizowanych artystów, otrzymują zlecenie i nikogo już nie obchodzi w jakich godzinach i w jakich warunkach projekt zostanie wykonany, byleby wykonany został. Na całym świecie honoruje się przecież koncepcję, a nie — bezproduktywną często — odsiadówkę.

— Zakładom jednak bardziej zależy, aby mieć plastyków zatrudnionych na etatach — gasi mój zapal zaprzyjaźniony plastyk. — Za projekt musieliby płacić osobno, według prawa autorskiego, a tak mają to samo za trzy tysiące miesięcznie. Żebym ja za wszystko, co wykonałem pracując na etacie wystawiał osobne rachunki, to ho, ho... — zamysła się. — Willę bym pewnie za to wybudował.

Znajomy mój jednak willi sobie nie wybudował, ani w ogóle „nie dorobił się”. Mieszkanie ma w Lubinie, gdzie pracuje na stanowisku plastyka powiatowego, niewielkie, ot dwa pokoje z kuchnią i łazienką, ale za to zapał...

— Ludzi chętnych do osiedlenia się w Lubinie znalazło by się wielu — stwierdził — należy stworzyć im tylko odpowiednie warunki, zapewnić pracę, mieszkanie...

— A czy ma pan pracownię? — przerwałem w pół słowa, rozglądając się po zastawionym rzeźbami i ich projektami mieszkaniu.

— Coś tam wykroilem sobie w piwnicy — odpowiedział niechętnie i widziałem, że za wszelką cenę usiłuje pozostać optymistą. — Ale powoli do wszystkiego dojdziemy — dodał na pocieszenie, nie wiem tylko kogo, siebie czy mnie.

Takich jak mój znajomy, którzy szansę dla siebie widzą w działaniu, jest bardzo mało. Takich, którzy działać chcieliby nie w wielkim ośrodku kultu-

ralnym, a w mieście powiatowym jest jeszcze mniej, a takich, którzy do powiatu pchają się, mimo, że ich tam nie chcą, nie ma prawie wcale. Takich którzy przyjeżdżają, bo nie znajdują w dużych miastach miejsca, bo nie wytrzymują konkurencji, bo chcą się wreszcie dorobić, jest na pewno więcej. Wśród nich znajdują się zapewne i tacy, którzy „prowincję” traktują jako swoistą odskocznnię od cywilizacyjnego tempa; ich nie obchodzi, ani stolica, ani powiat, oni mają siebie. Problem pozostaje jednak ten sam.

Uczelnie artystyczne co roku wypuszczają kilkudziesięciu absolwentów różnych specjalności, a jak się dobrze zastanowić, to każdy niemal zakład produkcyjny w Polsce powinien mieć etat dla plastyka, bo bez współpracy w tej dziedzinie nie ma co mówić o prawdziwie nowoczesnej produkcji. Tymczasem dyrekcje większości zakładów nie tylko nie znajdują u siebie miejsca dla ludzi, którzy — co tu dużo mówić — niejednokrotnie przyniesliby tym zakładom wielkie korzyści, ale nawet nie wiedzą co to takiego ten plastyk, kojarząc go sobie najczęściej z długowłosym i długobrodym maniakiem, który gania po polach z paletą, pędzlem i sztalugami i mruszy coś bez związku, gdy się do niego odezwą.

W owych pięćdziesięciu jeden odpowiedziach negatywnych przesłanych przez zakłady pracy województwa wrocławskiego do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, znalazły się między innymi odmowy takich potentatów jak wrocławska „Fadroma” produkująca na eksport, czy Wrocławskie Zakłady Mechanizacji Budownictwa — ZREMB. Trudno sobie doprawdy wyobrazić pracę tych zakładów bez pomocy wykwalifikowanych plastyków, a przecież są to przedsiębiorstwa istniejące we Wrocławiu, mieście, które posiada wszystkie możliwe uczelnie i którego mieszkańcy nie są pozbawieni wyobraźni.

Jak zatem problem ten musi wyglądać w powiatach? Z sytuacji tej wyjście jest jedno. Działać. Wyjeżdżać na

„prowincję”. Przekonywać władze powiatowe o konieczności zatrudniania artystów plastyków właśnie w pierwszym rzędzie. Tak jak mój cytowany znajomy. Cierpliwie i z uporem. Na zakończenie chciałbym przytoczyć jeszcze jednego jego wypowiedź:

— Doczekałem się wreszcie tego, że architekci przy projektowaniu domów zaczęli się ze mną konsultować, jaki najlepszy dać tym domom wystrój zewnętrzny, a raz to nawet poproszono mnie o opinię w sprawie plakatu, który władze Lublina zamówiły we wrocławskim Wydawnictwie Artystyczno-Graficznym. I proszę sobie wyobrazić — powiedział zdziwiony znajomy — mój głos miał decydujące znaczenie przy wybieraniu projektu.

LECH ISAKIEWICZ

Fot. J. OLEK



uroki międzynarodowych kontaktów

Janusz Górnik

„A więc nareszcie. Pojechali!” To były pierwsze nasze słowa, gdy tylko ostatnie światła pociągu znikły za zakrętem. Był dzień 13 maja br., godzina 2.01. W niewielkiej grupie pasażerów czekających na jakiś pociąg jesterśmy i my — najwytrwalsi. Jest Wojtek — szef operacji, Tosiek — z-ca szefa, Marzena — ta od suchego prowiantu, Zbyszek — oficjalny fotograf, Maciek — jeden z księgowych i niżej podpisany — tłumacz. Jeszcze przed oczami mamy uśmiechnięte, choć zmęczone twarze i przyjaźnie machające do nas ręce naszych kolegów — studentów z Karl-Marx-Stadt. Przez zmęczone umysły przelatują jeszcze wspomnienia niezapomnianych chwil, ale na każdej twarzy widać jedno wielkie pragnienie — spać. Spać — to teraz, a jutro, a raczej dziś rano przyjdzie czas na podsumowanie. Podsumowanie wszystkich i wszystkiego, czyli — co było, co jest i co będzie.

A zaczęło się tak. W środę, zaraz po feriach wiosennych Wojtek (patrz wy-

żej) powiedział, że przysłał telegram, żeby jutro przyjeżdżać. Więc wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy. Dokąd? Oczywiście do Karl-Marx-Stadt. Kto? My — grupa E-1 (II Wydział Elektroniki). Dlaczego? Bo Politechnika Wrocławska współpracuje z tamtejszym Uniwersytetem Technicznym. Po co? Aby nawiązać bliższe kontakty. Byliśmy tam trzy dni. Nasz dorobek: dwa oficjalne spotkania z przedstawicielami FDJ oraz grupy, która nasz pobyt organizowała, masa rozmów nieoficjalnych, zawarte nowe znajomości. Jednym słowem, każdy był zadowolony.

Już w drodze powrotnej do kraju myśleliśmy o tym, aby w roli gospodarzy nie wypaść gorzej. Tam spaliśmy w akademiku. Pokoje dosyć duże, bo aż na dwie osoby, dla każdego osobny stół do nauki (duży), bieżąca woda: ciepła i zimna (czuliśmy się trochę nieswojo, bo o każdej porze dnia i nocy leciały obie, ale student człowiek młody, więc i do tego szybko przywykliśmy). Żywność, tzn. obiady też na kartki, tylko, że większe niż u nas (kartki oczywiście,

bo obiady bez zupy). O wyżywienie nie martwiliśmy się, bo nasza stołówka *Nowa*, chociaż trochę od tamtej mniejsza, to na pewno bardziej funkcjonalna i jak się później miało okazać, panie z *Nowej* przeszły same siebie podając obiady wysmienite, gorące i raz nawet przedłużyły godziny pracy ze względu na opóźnienie pociągu. Jedna myśl nie dała nam jednak spać. Jak Niemcom wytłumaczyć zakwaterowanie w „ekskluzywnym” *Fosiku*? Czy rozumiemy, że u nas mieszka się kolektywnie po osiem osób w pokoju, że nie można być odludkiem i szukać pokoju dwuosobowego? I czy rozumiemy, że będą musieli spać w czternaście osób w ośmioosobowym pokoju, bo większych nie mamy? Byliśmy tak kompletnie załamani, że zapomnieliśmy o istnieniu naszej kochanej Rady Uczelnianej. Przecież oni nam pomagają. I nie zawiedliśmy się. Rzeczywiście pomogli. Po prostu nie zgodzili się na zakwaterowanie gości w *Fosiku*. Natomiast dbając o naszą kondycję fizyczną i o to, abyśmy mieli co robić z wolnym czasem (a te-

go w połowie maja każdy student ma dużo, bo to i dni dłuższe na wiosnę i pogoda ładna) zaproponowali, żebyśmy nowe lokum znaleźli sobie sami. I słusznie. Przecież to do nas przyjeżdżają i to tylko nasza sprawa. Więc niech „drobna kurka” (student II-go roku) biega całymi dniami po wszystkich hotelach, schroniskach i kwaterach prywatnych, by za pięć dwunasta znaleźć nocleg dla kilkunastu osób. Biegaliśmy, dzwoniiliśmy i... znaleźliśmy. Niedaleko... w ośrodku Politechniki w Karłowie. Uff! Mały kamyk z serca spadł. Jeszcze transport. Powrotny jest — autobusem Politechniki (to nie, że spóźnił się dwie godziny, chodziło przecież o studentów, więc czas się nie liczy, a w ogóle, to niech się cieszą, że przyjechał). Autokar do Karłowa za-

łatwiliśmy na cztery godziny przed przyjazdem pociągu z Niemcami. Ale znów zmartwienie: czym zapłacimy za autokar? Biegiem do Rady Uczelnianej. Tam rozmowa z zastępcą szefa. Ale student II-go roku jest nieśmiały, nie zna nikogo, jego też nie znają, więc kłopotów mieliśmy niemało.

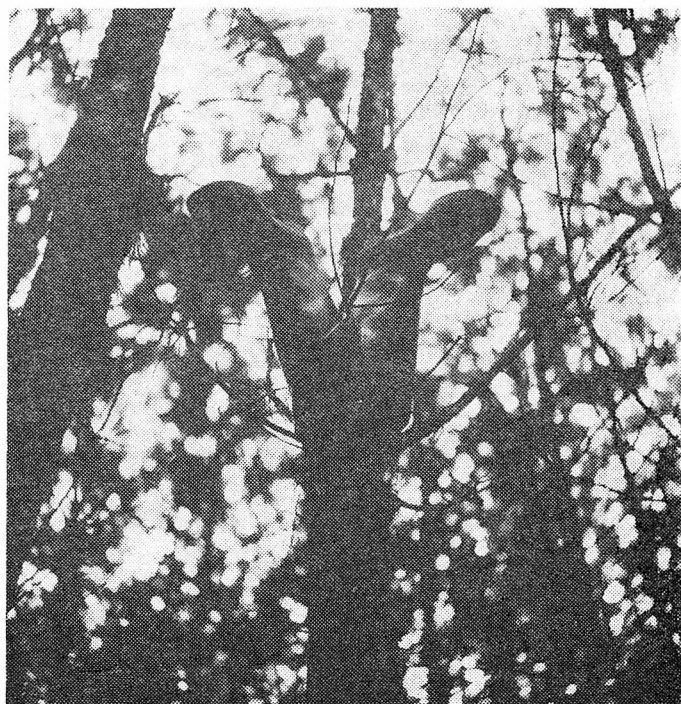
Tymczasem studenci z NRD już przyjechali i trzeba się nimi zająć. Zajęliśmy się tak gorliwie, że w niedzielę nie mieli już sił na długie spacerunki po Wrocławiu (my też). Całymi dniami chodziliśmy po górach, a wieczorami były gry, zabawy, konkursy przy ognisku i pieczonej kielbasie lub przy taśmie magnetofonowej. Zabawa była wspaniała, towarzystwo również. Szkoda, że czas biegł tak szybko, prawie jak sesja. To spotkanie mogło trwać dłużej, a tema-

tów do rozmów na pewno by nie zabrakło. Rozmawialiśmy o wszystkim, i o uczelniach, o systemie studiów, o pracy organizacji, o nauce i odpoczynku studentów i o wielu innych rzeczach. Trochę było nam smutno, gdy pociąg odjeżdżał, a słowa: „A więc nareszcie. Pojechali!”, to tylko dlatego, że byliśmy bardzo zmęczeni i każdy myślał już o zaliczeniach i sesji. Na drugi dzień mówiliśmy już o następnym spotkaniu. Zapomnieliśmy o wszystkich związanych z tym kłopotach. Przecież w trakcie przygotowań często myśleliśmy, że nie damy rady wszystkiego przygotować. Jest takie powiedzenie: „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”. Widać diabeł nie dysponuje studentami z grupy E-1.

JANUSZ GÓRNIK

Gustaw ERNST, urodzony w roku 1944, mieszka stale w Wiedniu. Studiował filozofię na Uniwersytecie Wiedeńskim. Obecnie zajmuje się wyłącznie pracą literacką, publikując w licznych czasopismach literackich, w radio i telewizji. Piśsze wiersze, utwory prozatorskie, szkice, recenzje i artykuły publicystyczne. Od 1970 roku jest współredaktorem lewicowego czasopisma literackiego młodych WESPENNEST i członkiem grupy literackiej o tej samej nazwie. Jest również członkiem „Grazer Autorenversammlung”, grupy pisarzy przeciwstawiających się działalności ideowej i literackiej austriackiego PEN-KLUBU. W roku 1972 otrzymał pierwszą nagrodę za utwór prozatorski w konkursie zorganizowanym przez austriacką unię studencką. Ważniejsze teksty (opowiadania, szkice, teksty teoretyczne) publikował w almanachu literackim grupy WESPENNEST (ukazał się w roku 1973) i w swoim debiutanckim zbiorze prozy „Am Kehlkopf”, który ukazał się w roku 1974. Należy — obok Helmuta Zenkera, Christiana Wallnera — do najciekawszych młodych pisarzy austriackiej lewicy, żywo sympatyzujący z ruchem komunistycznym. Zarówno jego opowiadania, wiersze, jak i szkice czy artykuły publicystyczne reagują ostro na rzeczywistość polityczną i społeczną Austrii lat 70-tych.

L.H.



Fot. J. LAJSTOWICZ

Gustaw Ernst

mowa do młodzieży

poprzemy was
potem jak wyście nas poparli
będzie się wam dobrze powodzić
potem jak wyście się postarali
aby się nam powodziło dobrze
dojdziecie do swoich pieniędzy
potem jak wyście nam pomogli
dojść do pieniędzy naszych
weźmiemy was pod uwagę
potem jak wyście wzięli pod uwagę nas
będziemy się od was uczyć
potem jak wyście się od nas nauczyli
uznamy wasze prawa
potem jak wyście nasze prawa uznali
wysłuchamy waszych żądań
potem jak wyście przyjęli żądania nasze
jesteście nadzieją narodu
potem jak myśmy nadzieją narodu zostali

polityka kulturalna

dzień sztuki
trzeba pilnie strzec
mogłyby
się z ludem mieszać
tam żyć
i dopiero zostać
policyjnie przepędzone

demokratycznie

aby nie przeszkadzać
rządowi w pracy
demonstrujemy
w ogrodzie zoologicznym
przeciwko pracy rządu

do elżbiety k

lokal
w którym wymieniliśmy adresy
pewnie pamiętasz
jest zamknięty z powodu remontu

nasza rada studencka
nie podąży z pracą naprzód
nikogo to nie interesuje

naprzeciwno
zmarła kobieta
z winy lekarzy
z którą rozmawialiśmy

dzisiaj pada u nas silnie deszcz
gdybyś mogła to zobaczyć

czytam teraz kilka książek naraz
to jest dobra metoda
moja matka żąda ode mnie
abym z nią częściej jadał przy stole

będiesz zdziwiona
kiedy znowu przyjedziesz
nie urosłem więcej

Przełożył: LOTHAR HERBST

KELNERKA- NIERZĄDNICA

Jan Paweł

Krasnodębski

Zmartwiony z Kutna: *Zbyt długi napletek, nie obawiaj się, nie będzie ci w niczym przeszkadzał, chyba że jego otwór jest za ciasny, skutkiem czego nie przesuwają się poza żołądek. Jeśli tak jest istotnie, zwróć się do chirurga.**

*) „Żyjmy Dłużej“, nr 6/1971

— I właśnie to było dla mnie najpiękniejsze — powiedział Jerzy. — Sam rozumiesz, pocałowała mnie w oczy. To było takie delikatne, tkliwe.

— Tak — powiedział Piotr.

Byli przyjaciółmi od lat. Jerzy po ukończeniu studiów psychologicznych objął etat asystenta, a za rok bronić miał pracy doktorskiej. Zagadnieniem tej pracy był problem behawioryzmu, ściślej: Behawioryzm, czy nie behawioryzm, w odczuciu łańcuchowych uproszczeń seksualnych. Piotr po ukończeniu elementarnej szkoły, średnich próbował kilkanaście, w związku z czym usiłował utrzymywać się z literatury, co okresowo, lecz rzadko, mu się udawało. Wykwintna kawiarnia w górskiej miejscowości była jeszcze pusta, nie licząc kobiety w bardzo obcisłym i wielkim narciarskim skafandrze, od chwili otwarcia pochłaniającej stopy ciast. Przyjaciele zajmowali stolik pod najdalszą od słonecznego w bieli tarasu ścianą, misternie wykładaną w fallusy. Z żalobnej szafy blisko baru płynął sugestywny motyw: Byłaś tu... Lokal był marzy oraz kategorii najwyższej.

Jerzy z uwagą usunął łyżeczkę ze szklanki z ekspresową herbatą. Piotr, po doświadczeniach poprzedniego wieczoru, popijał mineralną wodę.

— Tak — powiedział. — Miałeś z nią coś?

— Daj spokój. Ona była taka niewinna. Jak dziecko — powiedział Jerzy. Był ubrany we flanelową koszulę i zbyt szerokie spodnie. — Sam rozumiesz, siedzieliśmy u mnie, słuchaliśmy Aznavoura i ona nagle pocałowała mnie w oczy. Zupełnie nagle. Przylgnęła do moich oczu. I zaczęła płakać.

— Ona? — spytał Piotr. Kilkaset metrów w górę odnalazł w schronisku dziewczynę wreszcie swoich marzeń i niezbyt dobrze czuł się w związku z nieudanym doświadczeniem. Na wysokości ponad tysiąca metrów załoty oraz alkohol, nie służyły mu, wiedział teraz na pewno.

— Wiesz, została wtedy u mnie. Rano poszła do pracy, a ja miałem akurat wolny dzień i nawet nie myślałem o tym, czy wróci, chociaż zostawiła parasol, taki ładny, w czarno-złote kwiatki...

— I co?

— Sprzątałem cały dom, przygotowałem wykład, a po trzeciej przyszła i wiesz, tak zwyczajnie pocałowała mnie.

— W usta?

— Nie, w policzek. Rozumiesz, tak zwyczajnie — Jerzy patrzył w szklankę. Pani z drugiej strony sali zamówiła kolejną porcję ciastek. Kelnerka była rumiana i miała bardzo krótką spódniczkę częściowo osłoniętą krótkim fartuszkami.

— Tak — powiedział Piotr. — Ja już nie jadę w góry, a ty?

— Nie wiem, jak uważasz? A wiesz, nigdzie nie wychodziliśmy, słuchaliśmy płyt, siedzieliśmy obok siebie i rozmawialiśmy, było tak naprawdę pięknie.

— Uhm — powiedział Piotr. Jerzy był dwa lata starszy. Młody bardzo zdolny naukowiec. — Nic z nią jednak nie miałeś?

— Nie, wiesz, nie mógłbym nawet, to było takie czyste...

— Jak mineralna woda — westchnął Piotr. Bolała go głowa. Był młodym, sprawdzającym się poetą. Z powodu kilku wierszy Liga Kobiet rozesała za nim listy gończe. — Tak — powiedział i wypił z wysmukłej szklanki. Butelka po kryniczance była pusta. — Wezmę jeszcze jedną.

— Nic z nią nie mógłbym mieć, rozumiesz. Gdyby to była dziewczyna, wiesz, taka sobie, zwyczajna, to tak, ale z nią nie mógłbym. I była kilka dni, wiesz, dałem jej klucze, założyłem sobie obrączkę, jadaliliśmy razem obiady, a kiedy wracałem późno, ona czekała na mnie, leżała w moim łóżku, taka utulona i bezradna...

— Napijesz się czegoś? — spytał Piotr.

— Dziękuję, wiesz, nie. Wiesz, i zawsze wieczorem jej czytałem.

— Kubusia?

— Tak. Ona zasypiała, z rączkami przy szyi, jak dziecko.

— A ty?

— Patrzyłem się na nią, a potem kładłem się obok. Rano zagotowała raz mleko.

— Spaliście razem? W jednym łóżku?

— Nie, wiesz, ja przysuwałem połowę. Wstawałem pierwszy, myłem się, potem ona szła do łazienki i...

— Ty wychodziłeś z łazienki, a ona brała prysznic.

— Tak. Było tak...

— A słuchaj, jak długo w ogóle u ciebie mieszkała?

— Trzy dni. Ale wiesz... to były najpiękniejsze dni, najwspanialsze.

— A potem odeszła? — spytał Piotr. Tęga, młoda kelnerka w spódniczce do połowy ud zbliżyła się tanecznie. Na bosych nogach miała czarne szpilki. Było gorąco. W kawiarni nie było piwa. Kawiarnia była ekskluzywna.

— Tak, wiesz, wieczorem...

— Słuchaj, a czy odchodząc zabrała ten piękny parasol w czarno-złote kwiaty?

— Tak, wiesz... — Byłaś tu... zalkało z żalobnej szafy.

— Zadzwoń kiedyś?

Jerzy drgnął widząc przy stoliku kelnerkę.

— Jeszcze jedną wodę — powiedział Piotr. — Albo dwie.

— Proszę.

Dziewczyna odeszła. Zgrabnie ruszała ciałem. Nogi miała tłuste i lekko różowe. Stała przy bufecie i rozmawiała z

Rys. SKOR



barmanką. Do kawiarni weszła para w średnim wieku. Pan był apoplektyczny, a pani sucha. Kobięcie zająca ciastka odbiło się głośno bez słowa: przepraszam.

— Ale piękna — powiedział Jerzy. — Zauważyłeś, popatrzyła na ciebie. Śliczna dziewczyna.

— Która? — spytał Piotr patrząc w kobietę od ciastek.

— Ta kelnerka. Słuchaj, śliczna jest, nie?

— Aha — powiedział Piotr. — Trochę za gruba. Ale ty zawsze, jak Gauguin, wolisz tęższe kobiety.

— Słuchaj, z taką to ja bym natychmiast...

— Co?

— No, wiesz...

— Przespałbyś się?

— No, nie... Nie tak od razu.

— Zerwij ją. Zaraz przyniesie wodę i wtedy umów się z nią.

— Jak? — spytał Jerzy i dłonią sprawdził zarost. — Słuchaj, ale jest śliczna, nie?

— Taak — ziewnął Piotr.

— Wiesz, z nią to bym od razu... Ja bym się z nią ożenił.

— Coś ty? — Piotr zapalił pierwszego tego dnia papierosa. Miał smak popiołu. Pomyślał o nieudanym doświadczeniu ostatniego wieczoru. Słońce przebijało przez wielką szybę, a śnieg na tarasie srebrzył się nitkami.

— Poważnie — powiedział Jerzy. — Z taką dziewczyną...

— Słuchaj — powiedział Piotr. — Umów się z nią i kropka.

— Ale jak? Śliczna jest, nie?

— Piękna.

— Ajejeje — Jerzy spuścił wzrok. Dziewczyna zbliżała się z tacą.

— Jejku, jejku — rzekł Piotr. — Dziękuję pani.

Kelnerka uśmiechnęła się. Miała duże i bardzo grubo malowane oczy. Skierowała się w stronę kobiety lubiącej ciastka.

— Ale nogi — Jerzy dokładniej przyłożył okulary. — Piękna dziewczyna, prawda? — wpatrywał się. — Biedaczka, tak jej gorąco, że nie nosi pończoch. Nie ma, prawda?

— No — powiedział Piotr.

— Ach, z taką to ja bym od razu... Piękna jest, powiedz szczerze?

— Chyba tak. Wiesz, że ja się nie znam — Piotr wypił szybko dwie pełne szklanki kryniczanki. — Rzeczywiście śliczna — powiedział.

— Ajajajaj — zachwycił się Jerzy. — Wiesz, gdybym miał taką dziewczynę, to ja bym... Z nią bym od razu...

— Przespałbyś się?

— Wiesz, chyba tak... Ale, wiesz, z nią to w ogóle bym się ożenił. Najpierw bym się ożenił...

— Czemu, do cholery, nie umówiłeś się, gdy była przy stoliku?

— Ale jak?

— Zwyczajnie. Trzeba było złapać ją za rękę, przytrzymać, spojrzeć w oczy, bardzo poważnie spojrzeć i...

— Ale wiesz, ja mam okulary...

— Tym lepiej. Zresztą, co za różnica... Spojrzeć poważnie i umówić się.

— Ale coś by trzeba powiedzieć.

— No jasne. Coś byś powiedział.

— Co?

— Wszystko jedno.

— E. Uważasz, że tak by się dało?

— Człowieku... Kobieta przy tarasie zamówiła kolejną porcję ciastek.

— Poważnie?

— Najpoważniej — powiedział Piotr. Rozpoczął drugą butelkę mineralnej wody. — Tylko wiesz, trzeba od razu, szybko. I załatwione.

— Ale ona zwróciła uwagę na ciebie. Tak popatrzyła...

— Daj spokój. Słuchaj, jak będziemy płacić, koniecznie umów się. Jeśli tylko podoba ci się, to umawiaj się i koniec. Mówię ci.

— Nie, no wiesz, tak od razu... Może jakiś list...

— Jakiś list chcesz pisać, no wiesz. Od razu. Takie historie to tylko od razu.

— Poważnie?

— Do cholery, Jerzy, kończyłeś psychologię, a nie wiesz, że takie rzeczy to od razu. Szybko. Inaczej to na nic.

— Wiesz, może ja bym się przebrał.

— Człowieku, świetnie wyglądasz. Po cholerę masz się przebierać, nie rozumiem.

— No wiesz, żeby...

— Daj spokój. Podoba ci się dziewczyna, to umawiaj się i koniec.

— Śliczna jest, co?

— No, tak — powiedział Piotr. Kelnerka niosła cztery duże tortowe ciastka i butelkę soku. Dekolt miała w wielką ko-

niczynę. Przebijały jędrne piersi. Nie była w guście Piotra, który pisywał wiersze, lecz mogła się podobać. Nawet bardzo.

— Kawior po turecku. I herbatę — zamówiła para w średnim wieku.

— Bardzo proszę — powiedziała kelnerka.

— Skończyłeś już rozprawę o afazji w debilizmie? — spytał Piotr.

— Kończę — odpowiedział Jerzy. Zdjął okulary i schował do kieszonki flanelowej koszuli. Piękna jest — powiedział. — Widzisz, ożeniłbym się z nią, gotowałyby mi obiady, przepisywała na maszynie, a ja bym jej dyktował, siedziałbym na brzegu biurka, a ona by pisała. Wszystko byłoby inaczej. Aj, wiesz...

— Ona jest kelnerką, a nie maszynistką — zauważył Piotr.

— Aj, wiesz... — powiedział Jerzy. — Zakochałem się. Piękna dziewczyna. Zupełnie się zakochałem.

— To dobrze — powiedział Piotr. — Koniecznie powinienes z nią się umówić.

— Ale jak? Może napisać jakiś list, co? Podałbym jej dykretnie i...

— Na pięćsetzłotówce — wtrącił Piotr.

— Nie... Uważasz?

— Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć. Nigdy nie wiadomo.

— Ale jest śliczna, prawda? Powiedz?

— Tak. Dosyć. Przyjemna. Koniecznie musisz ją poznać — Piotr zapalił drugiego papierosa. Miał smak popiołu. — Koniecznie — powiedział.

— I co, co potem? — spytał Jerzy. Odstawił pustą szklankę po herbacie na brzeg stolika. Zwrócona ku sali dziewczyna śmiała się przy bufecie. Drgały jej wychylone piersi.

Dalej to już będziesz wiedział. Albo ona będzie wiedziała — powiedział Piotr. — Potem już samo się ułoży. Na razie musisz ją poderwać.

— No tak... Ale ona patrzy na ciebie. Wyraźnie patrzyła na ciebie.

— Daj spokój. Spójrz jak wyglądam. Całą noc nie spałem. Łeb mi pęka. Kaca mam jak cholera po tym wczorajszym. Ledwie widzę na oczy. Nienajgorsza dziewczyna.

— Prawda?

— Świetną podaje wodę. Może skosztujesz?

— Dziękuję. Słuchaj, powiedz poważnie, jak to zrobić?

— Z nią? — spytał Piotr. Kilkaset metrów w górę można by się opalać. Lecz wymarzona poprzedniego dnia dziewczyna odplynęła z Austriakiem.

— Może jutro bym...

— Chcesz, żeby ktoś ci ją zerwał? Tak sprzed nosa?

— Nie, ona chyba...

— Chyba. Diabli wiedzą — powiedział Piotr i spojrzał na pana o apoplektycznym wyglądzie. Piotr był szczupły. — Wszystko możliwe.

— Więc co robić?

— Pocałuj ją w rękę.

— Nie, powiedz poważnie. Słuchaj, ja naprawdę z taką dziewczyną od razu bym się ożenił. Może by się zgodziła, nie?

— Może. Ale w pierw musisz ją poznać.

— Właśnie.

— Posłuchaj, mówię zupełnie poważnie. Gdy podejdzie, by uregulować rachunek, powiedz, że ją kochasz.

— Tak od razu?

— Jasne. Złap ją za rękę i powiedz, że zakochałeś się od pierwszego wejrzenia, czy jak tam. Spytaj, kiedy ma wolne i umów się na spacer. Wtedy zaproponujesz jej małżeństwo.

— Nie... powiedz serio...

— Mówię serio. Albo, jeszcze lepiej... Kobieta lubiąca ciastka skończyła cztery tortowe i piła sok.

— Co?

— Aha. Więc słuchaj, zerwiesz się nagle, chwycisz ją za rękę i wyciągniesz z sali. To najważniejsze. Do hallu. Tam z nią porozmawiasz, powiesz, że ją kochasz i tak dalej, i że chcesz się z nią od razu ożenić. Mogę być twoim świadkiem na ślubie, jeśli będziesz chciał.

— Zgodziłaby się, jak uważasz?

— Chyba tak. Diabli zresztą wiedzą — powiedział Piotr. — W każdym razie musisz spróbować.

— Ale poważnie: jak?

— Mówię ci, musisz ją zaskoczyć. Inaczej to nic z tego nie wyjdzie.

— Uważasz?

— Oczywiście. Jak tylko podejdzie, to startuj.

— Ale tak od razu, naprawdę?

— Tylko od razu. Inaczej możesz wszystko zepsuć. Śliczna dziewczyna — powiedział Piotr myśląc o doświadczeniu z poprzedniego wieczoru.

— Ale... — zaczął Jerzy.

— Słuchaj, Jerzy. Jestem jak diabli zmęczony, chyba ro-

zumiesz. Podrywaj ją szybko i idziemy. Położę się — Zapalił trzeciego papierosa. Miał smak popiołu.

— Sądziś, że tak będzie najlepiej?

— Tylko tak. — Kobieta od ciastek płaciła rachunek. Kelnerka spojrzała w stronę ich stolika. Lekko podniosła dłoń. — Teraz — powiedział.

— A jak ona...

— To zaczniesz wyć. Zrobi to na niej wielkie wrażenie.

— Nie, ale...

— Nic ale. Wszystko w porządku — powiedział Piotr. — Gotowy jesteś?

— Słuchaj...

Dziewczyna szła przez salę uśmiechając się przymilnie. Miała naturalne, bardzo czerwone usta. Wąska spódniczka wyraźnie rysowała nogi. Uda miała silne. Fartuszek podkreślał linię bioder. Na tarasie nitki śniegu odbijały się w słońcu jakby pięciokrotnie rozrośnięte bielą. W kawiarni był upał. Sucha pani ocierała czoło. Dziewczyna poprawiając biustonosz wysunęła nieco wielkie i twarde piersi. Podeszła do stolika pod misternie rozchoconymi fallusami i patrząc na Jerzego wyjęła z kieszonki białego fartuszka firmowy notes z długopisem.

— Panowie płacą? — spytała.

— Taak — powiedział Jerzy. — Pani... — wyciągnął rękę i nieopatrznie zrzucił z blatu szklankę po herbacie. — Pani... Bardzo przepraszam — powiedział. Szklanka potoczyła się po czerwonym dywaniku o stolik wprzód.

— Drobnostka — powiedziała dziewczyna. — Zaraz podniosę. Tu było: trzy wody mineralne — pisała — i jedna herbata, tak? — patrzyła na Jerzego. Uśmiechała się. Zęby miała białe jak tysiąc metrów w górze śnieg. — Z cytryną?

— Tak — powiedział Piotr i łokciem zwrócił Jerzemu uwagę.

— Pani... — powiedział Jerzy. — Ja przepraszam, ale...

— Drobnostka, już podnoszę — dziewczyna obróciła się tyłem i pochyliła.

Razem spojrzeli. Jerzy zbladł, i na szyi ukazały się wypukłe, nieregularnie pulsujące żyły, a Piotr gwałtownie zasłonił usta i poderwał się z wiklinowego krzeselka. Kelnerka była bez majtek.

— Czternaście dwadzieścia — powiedziała.

JAN PAWEŁ KRASNODĘBSKI

PRZEBŁYSKI

Henryk Jagodziński

Epikurka...

*

Trzeźwość i rzeczywistość: dwie siostryce, a obie — upojne.

*

Pogubiliśmy się w detalach, z których jesteśmy złożeni...

*

Nie ciebie, lecz ciebiekolwiek!

*

Dezorganizujmy dezinformację!

*

Na myśl o chorej żonie i niedożywionych dzieciach zapijał się z żalu.

*

Określenie „ładne” jest ładne...

*

Człowiek pochodzi od małpy, ale człowieczeństwo nie!...

*

Jak na taki charakter, to jest bardzo dobry człowiek.

*

Małpy przodujące pośpieszyły się z rozwojem, nie czekając na resztę, i oto teraz mamy skutki!

*

Kaszel — rozrywka dla płuc.

*

Cóż nieboszczykowi z królewskiego pogrzebu!

*

Doniczka z palmą w domu samotnika przypomina bezludną wyspę.

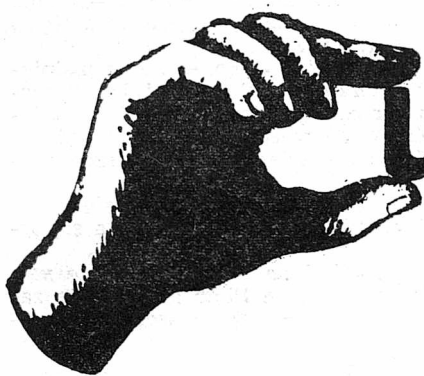
*

Etyka jest także kwestią tactu, a to już funkcja estetyki.



Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janiszewskiego 14, pok. 14/15, tel. 22-70-51 w. 240 (poczta wewnętrzna: P-9/S). Redaguje zespół w składzie: GRZEGORZ DĄBROWSKI, ERNEST DYCZEK (redaktor techniczny), JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), SŁAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, MAŁGORZATA KRAMKOWSKA, JAN KUROWICKI (z-ca redaktora naczelnego), MARIA MARCOLLA-WOLCZEK (sekretarz redakcji), MARIA PLUTA, MAREK SZEWCZYK, STANISŁAWA SZULC, TOMASZ WIELICKI, RYSZARD WOJTASZEK (z-ca redaktora naczelnego).

Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA, przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAK-DOBRZANIECKIEGO



U-TWORKI

w drodze na uczelnię

Patrzyłem wokół siebie otoczony podnieconym tłumem. Nerwowe przebieranie nóg, drżenie rąk osób starszych, przyprawiały mnie o dreszcze. Jeszcze chwila — już jest! Tłum ruszył jak jeden mąż tratując pod sobą wszystko co żywe. Pojękiwania ludzi i trzask moich żeber udokumentowały dosyć głośno, że obecnie znajduję się w drzwiach. Rozpaczliwe spojrzenia kobiet, może nie tyle starszych, co przywykłych do jazdy siedzącej, świdrowały z przeraźliwą prędkością pojazd. Walka o miejsca została na chwilę zawieszona. Mężczyźni i młodzież byli szybsi. Siedzieli teraz jakby oczekując ciosu, patrząc z tym samym, co najmniej niezbyt inteligentnym wyrazem twarzy w okna. Zwolna następowały roszady tłumu zajmującego pojazd. Jak można było się spodziewać, wnet rozpoczęły się dialogi. Zaczął je młody, krzepki mężczyzna zwracając się do podstarzałej sex-bomby: „Niech pani siada. Pani już stara”. Dama stała w dalszym ciągu nieruchoma, lecz purpurowiała z każdą chwilą. Za moment, jak na komendę, odezwało się kilka bojowych okrzyków: „Przepraszam!” i tłuste damulki z tobołami rzuciły się na uwolnione miejsce. Dziwiłem się, jak te osoby mogą tak walczyć zażarcie, a przy tym z przemitym uśmiechem na ustach. Zdobyczyni miejsca władczym wzrokiem ogarnęła swe ex-rywalki i ułożyła ogrom swego ciała na siedzeniu.

Zapanował pozorny spokój. Słychać było pojękiwania starszych, słabych osób wciśniętych gdzieś brutalnie w kąt. Damulki z paniką w oczach szukały kandydatów na uwolnienie miejsca.

Dwie z nich zaatakowały młodą dziewczynę:

— Może ustąpiłabyś miejsca, taka młoda?

— Nie mogę. Jestem w ciąży — odpowiedziała młoda osoba.

— Ciekawe kiedy pani zaszła?! — zapytała złośliwie jedna z uzurpaterek do zajętego miejsca.

— Przed chwilą — zareplikowała dziewczyna.

Śmiech wstrząsnął całym pojazdem i damy poszły szukać innych kandydatów. A swoją drogą mogłyby częściej jeździć tramwaje.

MAKOKO

opowieść syntetyczna

— Życie jest Wspaniałą Konsumpcją — westchnął z zadowoleniem pan A, wysysając udko pieczonej kaczki. — Gdyby tak jeszcze tego durnia B szlag trafił...

— Życie jest Cudowną Przygodą — pomyślał z radością pan B, polegając obok kształtnej Magdy. — Gdyby tak jeszcze tego idiotę C diabli wzięli...

— Życie jest Piękną Podróżą — powiedział z uśmiechem pan C, dojeżdżając do Gałkówka Wielkiego. — Gdyby tak jeszcze tego debila A. cholera zmiotła...

— Życie jest wspaniałą, cudowną, piękną konsumpcją, przygodą, podróżą — z zadowoleniem, z radością, z uśmiechem westchnęli, pomyśleli, powiedzieli Panowie X, Y, Z, wysysając udko pieczonej kaczki, polegając obok pulchnej Magdy, dojeżdżając do Gałkówka Wielkiego...

...A na miejscowym cmentarzu, na którym leżeli panowie A, B, C — panowała idealna harmonia, całkowity spokój, doskonała zgoda...

HENRYK JAGODZIŃSKI

na marginesie

Wystąpienie reżysera Z. w roli statysty nie przyniosło pożądanych efektów. Nawiasem mówiąc, większość krytyków jest zdania, że w tej roli Z. wypadł i tak najlepiej.

W dalszym ciągu nie zamierza się wprowadzić na naszej uczelni tarcz szkolnych z napisem — „POLITECHNIKA WROCŁAWSKA”.

W kołach studenckich wre dyskusja na temat; który ze stopni naukowych jest lepszy: doktor czy DOKTÓR.

Wrzuciłem jajko do wrzącej wody i zamiast pisklęcia wyszło jajko na twardo, stąd wniosek: KURA NIE JEST PTAKIEM WODNYM.

Mgr. X, który otrzymał kwiaty, rozplakał się mówiąc przez łzy: „A INNI DOSTAJĄ KONIAKI!?”.

MAKOKO

TWORKI

Chodźmy częściej na bale maskowe — twarz powinna odpocząć.

*

Nie patrząc prawdzie w oczy. Ludzie ukarają Cię, myśląc, że chcesz ją uwieść.

*

Gdy jest coraz więcej zjazdów, to i kombinacja klasyczna jest bardziej karokolonna.

*

Należy wróżyć przyszość z gwiazd, które obecnie jasno świecą.

*

Nie rzucaj okiem na kobiety. Możesz je stracić po nieudanym rzucie.

*

Posługiwał się tanimi błyskami, i już taki przydomek mu został: błyskotliwy.

*

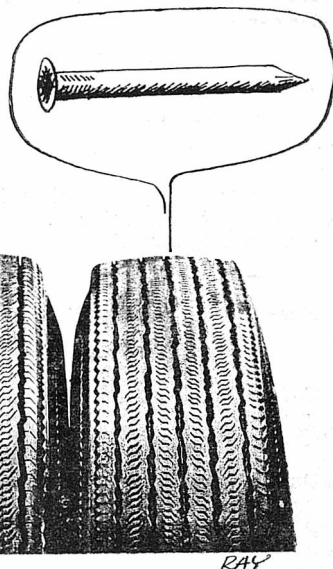
Otyli żyją krócej, ale dłużej jedzą.

*

„Koniec wieńczy dzieło” — powiedział X, któremu udało się związać koniec z końcem.

GRZEGORZ DĄBROWSKI

Rys. RAY



RAY